



## ROZDZIAŁ PIERWSZY, W KTÓRYM ZNAKOMITEGO REPORTERA OGARNIA ZDUMIENIE.

Ziemia pachniała orzeźwiającą wilgocią. Na drzewach zieleniły się maleńkie listeczki, pokurczone jeszcze i delikatne. Z radością patrzył na nie Jacek Czyński, krocząc po peronie przystanku podstołecznego letniska, Piaskowa.

— Ciepłe dni się zaczęły — myślał. — Matka może zaraz sprowadzić się z Dziką do willi. Do szkoły Dzikka będzie jeździła koleją. A ja z przyjemnością spędzę od czasu do czasu parę godzin wśród tych przepysznych lasów!

Jacek Czyński był reporterem wielkiego dziennika „Nowiny dla wszystkich”. Ceniony był bardzo za swe zdolności, a praca jego opłacana sownie. To też zaraz z nadejściem wiosny pomyślał o wynajęciu wygodnej

willi w lesistej okolicy dla swej matki i siostry, Jadwigi, uczennicy czwartej klasy.

Czekając na pociąg, rozglądał się wokoło, jakby chciał jeszcze raz sprawdzić, czy istotnie będzie tu dobrze najdroższym dla niego istotom. Jacek Czyński zatrzymał dłużej wzrok na szerokiej drodze, prowadzącej ze stolicy, tworzącej zakręt koło stacyjki i ginącej w lesie. W tej chwili od strony miasta nadjechał wielki, kryty samochód. Czyński przez okna zauważył, że w głębi siedzi starszy pan z obnażoną głową. Na tle ciemnych poduszek wyraźnie odcinały się gęste, zwichrzone białe włosy.

— Czyżbym się mylił? — mruknął do siebie reporter i poprawił na nosie okulary w rogowej oprawie. — Przecież to na pewno profesor Knych! Cóż on tu może robić? Czyżby się tu osiedlił, porzuciwszy dwa lata temu katedrę astronomji w stołecznym uniwersytecie?

Wkrótce jednak nadszedł pociąg i Czyński przestał się zajmować osobą profesora.

Minęło parę tygodni. Pani Czyńska z córką już zadomowiły się w Piaskowie w małej willi, tonącej w kwiatach i zieleni. Czyński rzadkim tu bywał gościem. Pracując z wielkim zamiłowaniem w swoim zawodzie, nie liczył godzin pracy, zawsze czujny na każde zdarzenie czy to w dzień, czy w nocy. Zbliżało się jednak lato, miasto pustoszało, zaczynały się „ogórki”: mniej spraw interesujących, mniej wydarzeń Pewnej soboty Jacek postanowił więc pojechać do Piaskowa.

Na stacyjce wysiadł już późnym wieczorem. Zbliżała się cicha, pogodna noc, choć ciemna. Niebo iskrzyło się gwiazdami i wydawało się, że ożyło całe w lśnieniach dalekich słońc.

Jacek ruszył w stronę lasu. Znał drogę doskonale, to też częściej spoglądał na niebo, niż przed siebie. Zawsze sprawiało mu wielkie zadowolenie wyszukiwanie konstelacji i przyglądanie się niebieskiej otchłani, w której krąży tyle tajemniczych światów.

Dochodził właśnie do lasu, kiedy oślepiła go nagle smuga jaskrawego światła, która wytrysnęła z ziemi i pomknęła z nieprawdopodobną szybkością ku gwiazdom.

— A to co takiego? — przystanął zdumiony reporter. — Gwiazdy spadające lecą z nieba na ziemię, nigdy z ziemi do nieba! Nie wygląda to też na fajerwerk!

Po paru chwilach błyszczący punkt zmałał do wielkości ledwie dostrzegalnej gwiazdki i wreszcie zniknął całkowicie.

--- Fiu! Fiu! — zagwizdał Jacek. — To pachnie jakąś sensacją i to pierwszego gatunku! Muszę tę sprawę zbadać, kto to używa tak niezwykłych pocisków! Czyński poczekał chwilę, czy przypadkiem w ślad za pierwszym pociskiem nie polecą następny, ale nie mógł się doczekać. Ruszył więc rażnym krokiem, zaprzątnięty całkowicie niezrozumiałym zjawiskiem.

Spoglądał co chwila w górę poprzez korony sosen, czy czasem „gwiazda ziemska” nie spadnie z powrotem na ziemię, ale całe niebo było usiane jednostajnie złote mi ćwiczkami gwiazd.

Po paru minutach przed Czyńskim zaczerśniała ściana willi. Wszedł na ganek, obrośnięty dzikim winem i tu dopiero spostrzegł bielejącą w mroku postać.



... oślepiła go nagle smuga jaskrawego światła...

## ROZDZIAŁ DRUGI W KTÓRYM BIAŁA POSTAĆ SPRZECZA SIĘ Z REPORTEREM.

Na widok wkraczającego na ganek Jacka biała postać zerwała się z ławeczki.

— Dobry wieczór. Jacku — usłyszał głos Jadzi.

— To panna jeszcze nic śpi?

— A bo widzisz, tu dzieją się jakieś niezwykle rzeczy już Ód paru dni.

— Cóż takiego? Może „straszy” we dworze? — śmiał się Jacek.

— Ależ nie żartuj! To naprawdę sprawa bardzo poważna. Posłuchaj tylko. Kilka dni temu siedziałam na ganku, jak dziś. Nagle od strony Rakietowa...

— Cóż tu za Rakietowo? Gdzież ono jest?

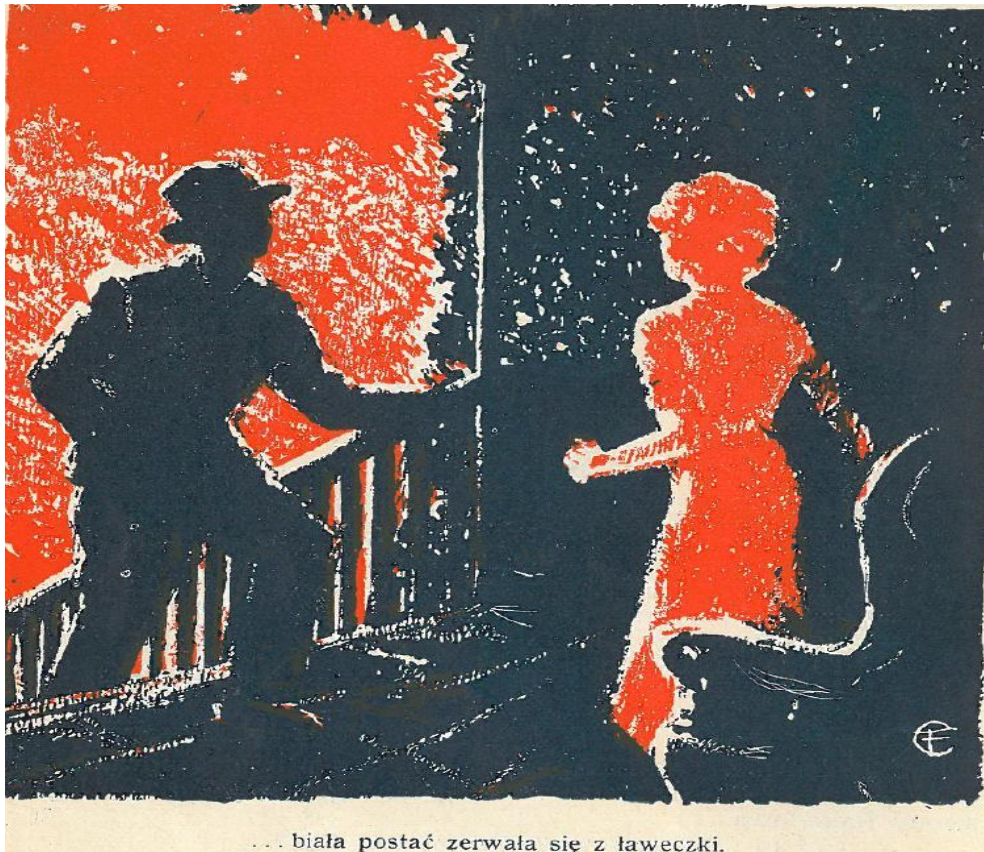
— O, Rakietowo to bardzo tajemnicza osada. Będzie od nas zaledwie o kilometr. Wielki plac otoczony wysokim murem z cegły. Z za lego muru ledwie widać jakieś dachy. Kto tam mieszka, niewiadomo.

Podobno plac należy do jakiegoś inżyniera. Miał tam budować fabrykę, czy coś takiego. Ale tam fabryki niema, a jest coś innego i na pewno o wiele ważniejszego...

— Widzę, że starałaś się zebrać wszystkie informacje, jak przystało przyszłej dziennikarce!

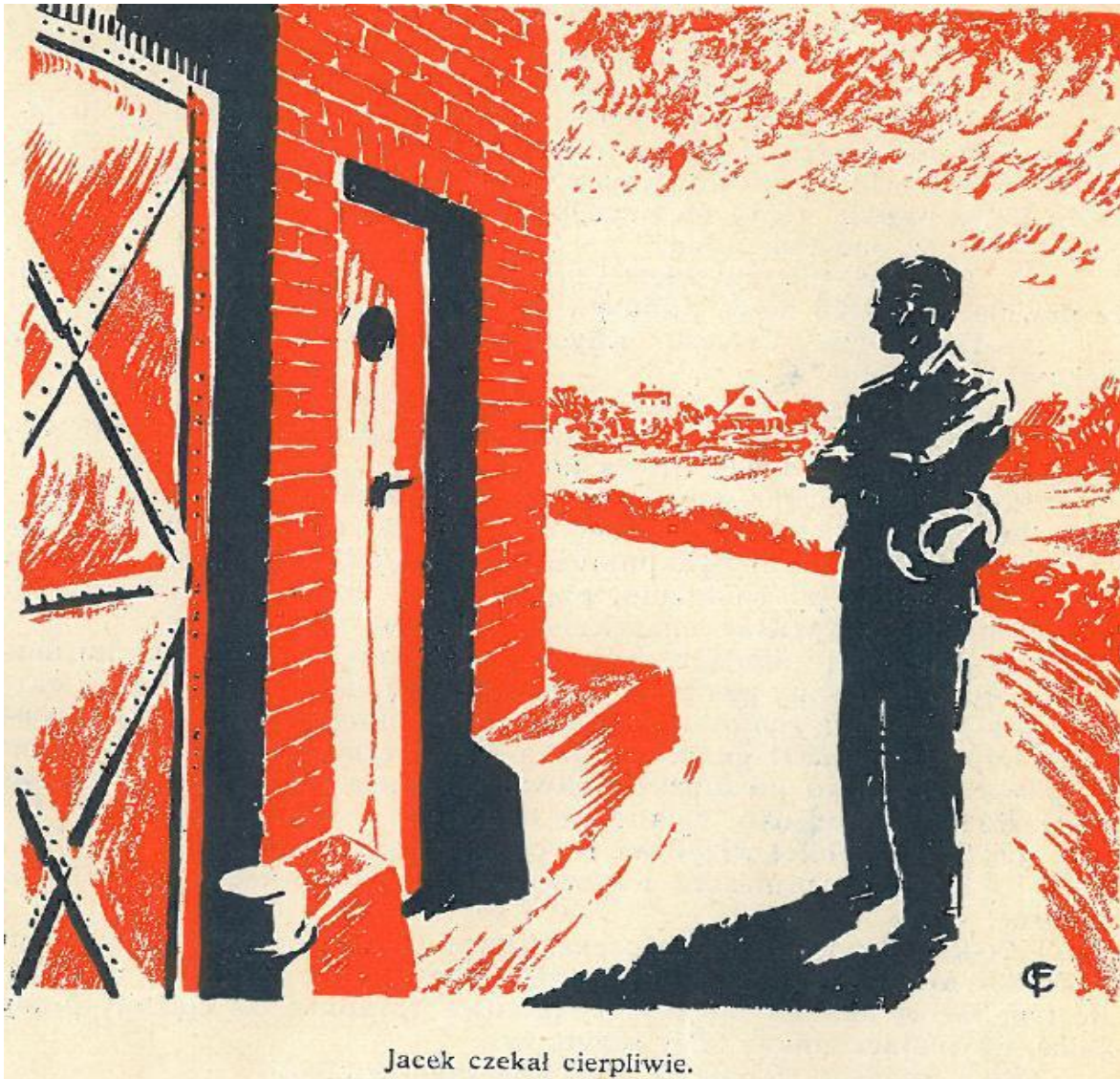
— A zobaczysz, że będę dziennikarka,! Myślisz, że tylko mężczyźni mogą być najlepszymi reporterami? Słuchaj dalej i nie przerywaj mi! Otóż nagle od strony Rakietowa wystrzeliła jakaś smuga ognia. Poleciała prosto w górę...

— Aha! No, no, mów dalej!



... biała postać zerwała się z ławeczki.

- Zaciekawilo cię, co? Prawda, że ciekawe? Może będziesz miał do swego dziennika!
- Mów że dalej! Nie przerywaj sobie!
- Myślałam, że może przywidziało mi się, ale światło widzieli i inni. Po kilku dniach, wyobraź sobie, spadło „to” z powrotem i trafiło dokładnie na plac w Rakietowie, ten plac za ceglanym murem!
- Ho, ho! To niebyłe sprawa! Muszę się tern zająć. Nie wiesz, jak się nazywa inżynier, który uchodzi za właściciela Rakietowa?
- Wiem. Wiem nietylko to, ale zdobyłam i inne wiadomości!
- Na miłość Boską, sroko jedna, mów prędzej, a nie chwal się, że to ty właśnie zdobyłaś wiadomości. Kto zdobył mniejsza!
- Kiedy mnie nazywasz sroką, to ci nic nie powiem.



Jacek czekał cierpliwie.

- Dzikka, nie wyprowadzaj mnie z cierpliwości!
- Poproś grzecznie, to ci powiem... Zresztą jestem śpiąca. Jutro ci powiem!
- Moja Dwiduleńko, mów!
- Pamiętaj!... Ale nie chcę, żebyś na mnie mówił „Dwiduleńko”, tylko prosto Dzikka...
- Dobrze już, dobrze!
- Inżynier ten nazywa się Milecki i od czasu do czasu wyjeżdża z Rakietowa samochodem, a potem zwykle przyjeżdżają tam ciężarowe samochody z wielkimi ładunkami. Oprócz inżyniera Mileckiego w Rakietowie znajduje się pewien profesor...
- Knycz!
- A skąd ty wiesz?
- A widzisz! I ja też coś wiem. Ale mów dalej!
- Kiedy wiesz, to nie potrzebuję ci opowiadać?

— Ależ nic więcej nie wiem! Przypadkowo widziałem go tu jadącego w samochodzie.

— Jest więc profesor Knycz, jego córka i jeszcze kilkanaście osób, które prawie nigdy nie wychodzą z Rakietowa.

— I cóż one tam robią?

— Tego właśnie nie wiem i nikt nie wie. Sołtys Piaskowa mówi, że pewnie wynaleźli nową armatę...

— E, skądże! Profesor Knycz nie zajmował się nigdy wynalazkami wojennymi.

— Jak ty, Jacku, myślisz, co oni mogą tam robić?

— Nie wiem, ale się dowiem. Teraz chodźmy spać! Jutro wybiorę się z samego rana z wizytą do profesora...

Rodzeństwo ucałowało się serdecznie i udało do swych pokoi.

Jacek spał niespokojnie. Śniło mu się, że gwiazdy zaczęły spadać na ziemię. Całe niebo było pokreślone smugami oślepiającego światła.

Rano, zaraz po śniadaniu, poprawiwszy zdecydowanym ruchem okulary na nosie, wyruszył energicznym krokiem do Rakietowa.

Po dziesięciu minutach drogi Czyński stanął przed wysokim murem;

którego czerwony pas przerywała wielka żelazna brama. Obok

zardzewiałych wierzei znajdowała się furtka z okrągłym otworem

okienkiem. Reporter znalazł guzik dzwonka elektrycznego, nacisnął i

czekał cierpliwie. Dopiero po dłuższej chwili odsunęła się zastawka otworu i ukazało się w nim oko, wpatrzone badawczo w natręta.

Jacek wyjął bilet wizytowy i wcisnął go przez otwór.

— Do pana profesora Knycza — dorzucił, nachylając się do otworu.

Zastawka opadła. Jacek czekał cierpliwie. Po upływie paru minut za furtką rozległo się człapanie ciężkich butów, zastawka się uchylila, ale tym razem ukazały się w otworze dwa zgrabiące od ciężkiej pracy palce, trzymające zmięty bilet wizytowy.

Bilet upadł na ziemię, a zastawka zakryła otwór.

— To aż niegrzecznie! — mruknął Czyński pod nosem. — Więc tym bardziej chcę dopiąć swego i mój dziennik będzie pierwszy, który ogłosi światu tajemnicę profesora Knycza!

## ROZDZIAŁ TRZECI, W KTÓRYM REPORTER PRZEPADA RAZEM Z „BOCIANEM”.

W niedzielę wieczorem Jacek Czyński opuścił Piaskowo. Obmyślił już plan postępowania i był pewny powodzenia. W poniedziałek rano udał się na lotnisko, gdzie zgłosił się do znajomego komendanta lotniska cywilnego.

Nie widzieli się kilka tygodni, to też powitali się serdecznie.

— Cóż cię sprowadza na lotnisko? Może szybowce, którymi tak się zawsze interesowałeś?

— Jakbyś zgadł — odpowiedział Czyński. — Nie chcę wyjść z wprawy i, jeśli pozwolisz, odbyłbym małą przejażdżkę. — Podniósł głowę do góry, jakby wietrzył wiatr. — Pogoda doskonała, wiatr aż prosi! A w dodatku ten mały lot potrzebny mi jest do pracy zawodowej.

— Każę ci zaraz wystawić z szopy „Bociana”. Cóż tam słyszeć u ciebie? Jakże się miewa matka, siostra?

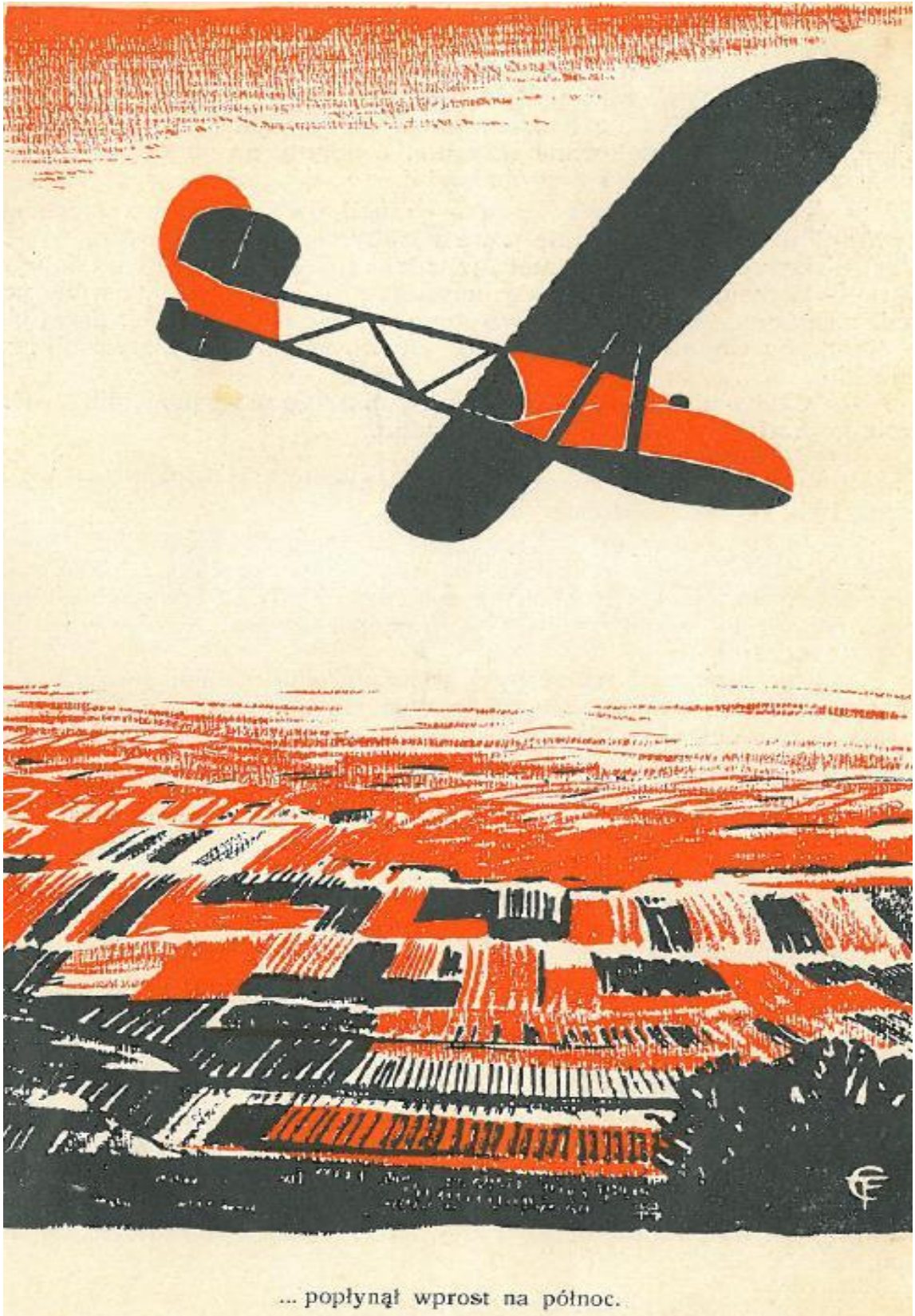
Obydwaj wdali się w rozmowę prywatną. Nie trwała jednak długo, gdyż w przeciągu kilku minut „Bocian” był gotów do lotu.

Komendant pomógł reporterowi usadowić się w wygodnym krześle, przypiął mu pas, sprawdził spadochron, bez którego absolutnie nie godził się na lot przyjaciela.

Po chwili „Bocian”, wyrzucony z katapulty, wzbił się lekko w powietrze. Pochwyił go gorący wiatr południowy. Komendant patrzył spokojnie na pewne ruchy sterów wysokościowych.

— Ma dobrą rękę — mruknął z uznaniem.





... popłynął wprost na północ.

Dłuższy czas wraz z paroma mechanikami obserwowali lot. „Bocian” zatoczył pięknie wyciągnięte półkole, następnie drugie i popłynął wprost na północ. Na tle bezchmurnego nieba wyraźnie rysowały się długie, pięknie wymodelowane skrzydła. Z minuty na minutę bezgłośnie aparat malał, dźwigając się coraz wyżej.

— Prawie rekordowy wzlot — rzucił uwagę jeden z mechaników. — Pan Grzeszczyk nic powstydziliby się takiego startu.

— Byle nie wziął 600 metrów, zdaje się, że tam wiatr niedobry.

— Wyczuje — wtrącił się komendant. — Ale coś za bardzo poszedł na północ. Nie będzie łatwo mu zawrócić na lotnisko... Dokąd że, do djabła, on ciągnie? — zawołał po chwili, zdumiony prostym kierunkiem lotu.

— Czyby nie pchnąć awionetki za nim? Grzelak poleciałby... Zanieś go nad lasy i o wypadek nie trudno.

— Przynieście-no mi lornetę!

Komendant jął się rozglądać po niebie, bo już gołym okiem nie można było dojrzeć „Bociana”.

— Jest! — zawołał. — Leci ciągle na północ. Przygotujcie RWD...

Gdzie go niesie? — mruzczał coraz bardziej niezadowolony z lekkomyślności dziennikarza. — Przecież tam las i las, a gdzie polanka, to domy.

Nigdy bym się nie spodziewał po nim takiego kawału! Jeszcze sobie jaką krzywdę zrobi!

Już i przez lunetę widać było „Bociana” jak maluśki punkcik. Kołysał się daleko, to zniżał, to lekko wznosił, zatoczył wreszcie szeroki łuk.

— No, zdaje się wraca — odetchnął z ulgą komendant. — Ale będzie miał ciężką pracę. Wyżej możeby złapał lepszy wiatr, ale jakoś nie stara się podnieść. Nie, nie uda mu się wrócić! Grzelak, wystawiliście maszynę? Gotowa?

— Tak jest, panie komendancie!

— Pojedziemy. Przynieście mi kombinezę.

Lornetę chwycił jeden z mechaników. Wodził nią po niebie.

— Nie mogę go wypatrzyć! — powiedział wreszcie.

— Patrzcie wprost na północ... No, nie widać?

— Nie widać, panie komendancie!

Komendant pochwyił jeszcze raz lunetę. I on też na próżno przeszukiwał niebo. Nie było na nim śladu „Bociana”.

— Nie daj, Boże, spadł!

Komendant z Grzelakiem pobiegli kłusem do awionetki. Grzelak gorączkowo zapuścił motor. Po kilku minutach RWD oderwała się od ziemi i pomknęła na północ.

Wychylając się z fotela, komendant rozglądał się po ziemi, która w miarę, jak wzbijali się coraz wyżej, coraz wolniej przesuwała się pod nimi.



Znaleźli się wreszcie nad wielką, plamą lasów, prześwitującą gęsto polanami, na których rozparły się ludzkie osiedla. Grzelak podnosił aparat wysoko, to zniżał go do kilkudziesięciu metrów, ale „Bociana” nie było widać nigdzie.

— Gdyby spadł w las, to gdzieś na czubach drzew zostałby chociaż ślad! A na pewno spadł!

Coraz bardziej niespokojny, komendant gorączkowo przepatrywał kawały gruntu. Zatrzymał dłużej wzrok na nieforemnym placu, otoczonym czerwonym paskiem wysokiego muru. Plac był gęsto zadrzewiony, a na niewielkich przestrzeniach wolnych wznosiły się dziwaczne budowle. Pośrodku jakby cyrk kopulasty, choć wąski, obok długa szopa, opleciona w druty przewodników elektrycznych, dalej dom jednopiętrowy, tonący w kwiatach i krzewach.

Awionetka nisko przemknęła nad tymi zabudowaniami, ale komendant nie zauważył nic podejrzanego. Na placu nie było żywej duszy.

To też komendant zwrócił raczej uwagę na niewielką polankę niezabudowaną o dwa kilometry dalej.

— Jeśli Czyński musiał lądować, to na tyle umrę się obchodzić z szybowcem, że potrafili wybrać miejsce. A to właśnie ze wszystkich najbliższych jest najdogodniejsze.

Niestety, polanka była pusta. „Bocian” wraz z reporterem zniknęli, jak kamień w wodzie.

**ROZDZIAŁ CZWARTY. W KTÓRYM REPORTER UDERZA  
GŁOWĄ O ŚCIANĘ.**

Jacek Czyński, znalazłszy się nad wielką plamą lasu, ani myślał o powrocie, ani nawet o lądowaniu na którejś z polanek, uśmiechającej się odbłaskiem słońca z ciemnych ram lasów.

Po dłuższym locie wypatrzył teren, który go interesował. Ten właśnie teren, na który komendant lotniska nic zwrócił baczniejszej uwagi, znalazłszy się w pobliżu Rakietowa, Czyński zatoczył „Bocianem” szeroki łuk. Na całym placu znalazł kilkadziesiąt metrów wolnych, na które postanowił opaść. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa podobnego lądowania, ale uparty reporter postanowił nie ustąpić za wszelką cenę. Planował sobie zresztą od razu „urządzenie” wypadku, by mieć pretekst do zatrzymania się choć przez krótki czas na terenie tajemnicze osady profesora Knycza, czy też inżyniera Ajrleckiego.

Walcząc z wiatrem deliktnymi poruszeniami orczyka i dźwigniami, prowadzącymi do sterów wysokościowych obniżył lot „Bociana”.

— Kiedy zniżę się bardziej, powinienem pokierować na wiatr zachodni, ustawienie budynków tak chyba wpłynie na prowadzenie — rozmyślał reporter.

Czyński obrzucał badawczym spojrzeniem plac i budynki. Zaciekawiała go najbardziej kopulasta, wysoka budowla, składała się ona z desek na żelaznym rusztowaniu. I wtedy właśnie zapomniał czuwać nad postrzeganiem prądów powietrznych. A mylił się w rachubach jeszcze ranek i na wyziębioną ziemię z góry spływało ciepłe powietrze. Zanim Czyński to spostrzegł, prąd porwał jego „Bociana”. Pochwyił gorączkowo dźwignie sterów, „Bocian” zakołysał się, skręcił nagle rozległ się trzask prawego skrzydła, kadłub zatoczył łuk i huknął pomiędzy wysokie sosny. W tej chwili reporter stracił przytomność.



Mężczyźni szybko wypełniali rozkazy. Płócienne skrzydła osłabiły upadek, drąc się o konary. Dzięki nim „Bocian” nie spadł, a zsunął się wzdłuż pnia na ziemię.

Trzask aparatu i łamiących się konarów ożywił, zda się, obumarłe osiedle. Z najbliższego kopulastego budynku wybiegło paru ludzi i podążyło na miejsce wypadku.

Jeden z mężczyzn, smukły, z krótko ostrzyżoną czarną brodą, był niewątpliwie zwierzchnikiem, inni jego podwładnymi, gdyż, znalazłszy się nad szczątkami „Bociana”, począł wydawać polecenia.

— Tego człowieka — wskazał ręką nieprzytomnego reportera — zanieście do mego laboratorium. Szczątki natychmiast uprzątnąć, by śladu najmniejszego nie było!

Mężczyźni szybko wypełnili rozkazy. Po chwili plac opustoszał. Parę osób zgromadziło się wokół niewielkiej ceratowej kanapy, na której złożono Czyńskigo. Nad nieprzytomnym pochylił się niski, za to wielkiej tuszy, starannie wygolony mężczyzna. Dokładnie obmacał leżącego, poruszając delikatnie jego członkami, przesunął rękami po żebrach.

Wyprostował się wreszcie i powiedział:

— Nic mu nic będzie. Huknął głową o ścianę i zamoczyło nieboraka. Poza tern jakiś gwóźdź rozszarpał mu ramię, stąd takie ubite krwawienie, które zaraz zatamujemy. No i ogólnie potłuczony. Musi parę dni poleżeć bez ruchu. Zdaje się, że wewnątrz niema uszkodzeń.

— Jeśli tak jest, doktorze, trzeba go wsadzić w jakiś samochód i wywieźć. Niech się nim policja zaopiekuje i odeśle do szpitala.

— O, nie drogi panie Stefanie, nie można nim teraz tak potrząsać. To może zaważyć na jego życiu. Muszę go najpierw skrupulatnie zbadać. Kto wie, czy nie nastąpiły jakie obrażenia wewnętrzne, przy których najmniejszy ruch, czy wstrząśnienie może nieboraka przyprawić o śmierć, albo przynajmniej o długotrwałą chorobę.

— Trudno! Zapłacił za swoją ciekawość! Te są okropni ludzie ci reporterzy! Wszędzie muszą wetknąć swój nos!

— Ale czy jest pan pewien, że to reporter? Zresztą ciekawość jego już nam nie przeszkodzi. Za kilka dni będziemy daleko.

— To reporter na pewno! Przychodził przecież tu z wizytą do kolegi Knycza! A kto wic, czy pod płaszczykiem dziennikarza, nie kryje się jaki szkodnik!

— Inżynier zawsze ma skłonność do przesady — powiedział z uśmiechem doktor. — Zresztą zrobiłem swoje. Ostrzegam przed poruszaniem chorego, a decyzję niech wyda Knycz, który tu rządzi.

Ledwie doktor wymówił te słowa, kiedy na progu stanął profesor Knycz, a za nim weszła jego córka, Ewa Knyczówna, szczupła, zgrabna panna, o delikatnych, nacechowanych jednak energią rysach twarzy. Podeszła żywym krokiem do doktora.

— Żyje? — rzuciła pytanie.

— O, tak, moje dziecko. Nie obawiaj się o jego życie.

— To chwala Bogu!

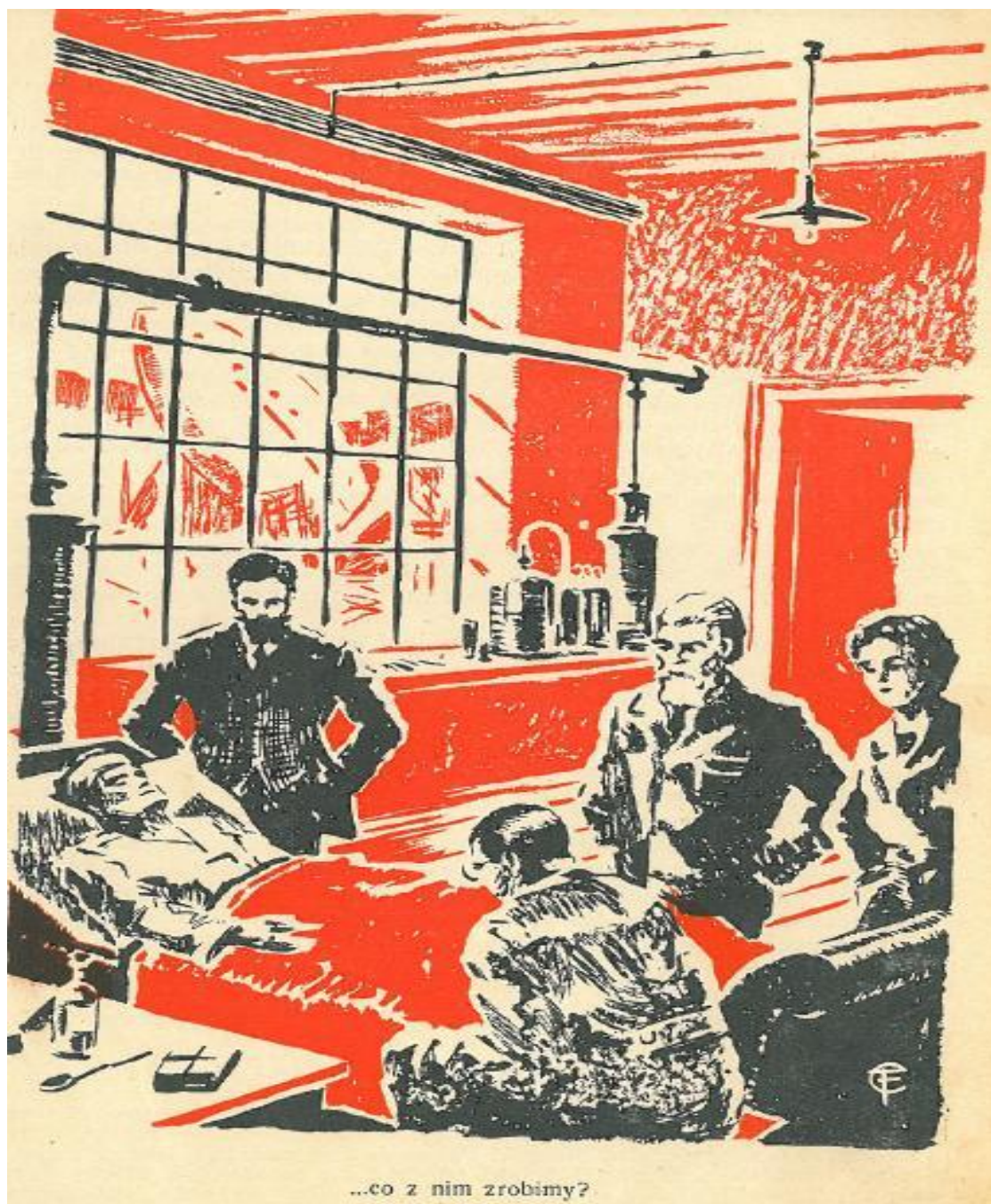
— Ale teraz pytanie, co z nim zrobimy? Inżynier chce go natychmiast wysiedlić. To mogłoby być niebezpieczne dla jego zdrowia. Należałoby go pozostawić w spokoju parę dni.

— A tymczasem znajdzie sposób — wtrącił żywo inżynier, — by roztrąbić na wszystkie strony o naszej pracy i spokoju nam nie dadzą! Gorzej, bo na pewno urządzią całe obłęzenie Rakietowa! W tych warunkach ostatnie nasze przygotowania staną się prawie niemożliwe.

— Trzeba będzie go pilnować.

— Ależ będą go szukali i zapewne zajrzą i do nas!

— To trudno — zdecydował profesor Knycz. — Niech się zajmie nim na razie doktor, a Ewa mu pomoże. My zaś chodźmy do swojej pracy. - Obecni posłusznie poczęli opuszczać pokój.



...co z nim zrobimy?

## ROZDZIAŁ. PIĄTY, W KTOKYM REPORTER CHCE WZIĄĆ UDZIAŁ, CHOĆ NIE WIE, W CZEM.

Po paru godzinach Jacek Czyński oprzytomniał. Rozejrzał się po pokoju, nie poruszając głową, w której odczuwał nieznośny ból. Ujrzał sufit, pocięty drutami i różnej grubości rurami. Zwolna przypomniał sobie, co się z nim stało. Dopiero po dłuższej chwili doszedł do wniosku: — Jestem w jakimś lokalu Rakietowa! Usiłował się poruszyć, ale dotkliwy ból nie pozwolił mu nawet unieść głowy.

— No, jakże się pan czuje? — usłyszał miły głos kobiety.

— Bardzo dziękuję. Zdaje się, że jestem zupełnie zdrow. Mam tylko chęć napić się wody i odzyskać swobodę ruchów.

— Nie wolno panu się poruszać. O swobodzie ruchów zdecyduje nasz lekarz, doktor Burlicz. Niech się pan teraz napije, — Jacek ujrzał nad swą głową młodą twarzyczkę panny Ewy, która dotknęła jego ust szklanką z wodą.

— Dziękuję — powiedział Jacek. — Czy pani nie zechciałaby powiedzieć mi łaskawie, w jakim to lokalu się znajduję?

— W laboratorium.

— Domyślam się, gdyż widzę sufit. Ale ciekaw jestem, co też to za laboratorium?

— Nie zaspokoję pana ciekawości — powiedziała spokojnym, ale stanowczym głosem panna Ewa.

— Aha, tajemnica.

— Tak.

— A pani naturalnie wie?

— A pan nie znosi, jeśli ktoś wie, a pan nic wie? — zapytała z uśmiechem.

— Mam to już w swej naturze, proszę pani. Dziennikarz musi wszystko wiedzieć, bo wszystko wiedzieć chcą czytelnicy.

— Ale takie wdzieranie się przemocą do cudzych tajemnic nic jest ładne.

— Osoba profesora Knycza i jego wybitna praca należą do społeczeństwa. Ono musi wiedzieć.

— Dowie się w swoim czasie.

— Chodzi też i o to jakim sposobem się dowie. Mój dziennik musi być pierwszym, który społeczeństwo powiadomi o pracy profesora.

— Tak jest pan tego pewien?



- W każdym razie uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy by był pierwszym.
- Niewiele jest teraz w pana mocy, kiedy pan poruszyć się nawet nie może.
- Uczynię to..
- Dalsze słowa Czyńskiego przerwało nagłe wejście doktora Burlicza. Już od progu woła:
- Ach, droga Ewuniu, nie masz pojęcia, co za przykrość! Ojciec jest bardzo zasmucony. Nikt by się tego nie spodziewał po Kolasińskim! zdawałoby się, że taki zacny człowiek, o niewzruszonych zasadach.
- Co się stało, doktorze? — pytała panna Ewa z trwogą w głosie.
- Kolasiński nie wrócił do pracy. Nadeszła dziś list, w którym się tłumaczy, że nie może wybrać się na naszą wyprawę. Nie pozwala mu narzeczona! Tak, tak! Narzeczona mu nie pozwala! Dla kobiety niema nic ważnego na świecie poza jej własną wolą i zachciankami!
- Ależ, doktorze!...
- Nie zaprzeczaj, moje dziecko! Takie są wszystkie. Inni to tylko wyjątki! Ty do nich należysz, wiem to. Ale Kolasiński! Żeby dać sobą tak powodować kobiecie! To poprosili niepojęte!
- I co teraz zrobimy?
- To właśnie najważniejsze pytanie. Ostatecznie niech zostanie przy narzeczonej. Powiedziała mu, że jeśli ją opuści, wyjdzie za innego. Zląkł się tego i odmówił udziału w wyprawie! A niechby wyszła za kogo innego!
- Łatwi i doktorowi decydować, kiedy to nie doktora narzeczona..
- A prawda! Ale co my teraz zrobimy? Ojciec głowi się nad tern i martwi się! A jakże nasz pacjent? Widzę, że otwiera oczy...
- Tak, panie doktorze! Już, zdaje się, jestem zdrów.
- No, niezupełnie, niezupełnie!
- W każdym razie mam nadzieję, że stanie się to w przeciągu dnia... Tymczasem pozwolę sobie zrobić pewną propozycję... Słyszę, że brak państwu pracownika, który zrezygnował z udziału w wyprawie panów. Czy nie zechcieliby panowie wziąć mnie na jego miejsce? Ja nie mam narzeczonej!
- Ho, ho! Takiego potłuczonego jegomościa?! A przy tym pan



Omal mnie pan nie podszed!...

nie przeszedł ćwiczeń, które decydują o możliwości wyprawienia się z nami w tak daleką podróż!

— Więc panowie szykujmy się. W podróż?

— I to dość daleką...

— Doktorze, mieliśmy nic nie mówić dziennikarzom! — wtrąciła się panna Ewa.

— Racja! Omal pan mnie nie podszedł! A to z pana lis!

— Nie miałem zamiaru podstępem wydzierać tajemnicy państwa po prostu proponuję swe usługi. Zaznaczam, że jestem świetnie wysportowany, wytrzymały na wszelkie niewygody. W zamian proszę tylko o prawo pierwszeństwa drukowania wiadomości o pracach panów, kiedy panowie uznają, że można już je podać do wiadomości publicznej.

— Powiem to Knyszowi. Niech decyduje. Ale najważniejszy szkopuł to ten, że pan się przecież nie może poruszyć, a my wyruszamy już za ty...

— Mieliśmy nic nie mówić — ostrzegła znów panna Ewa.

— Racja! W każdym razie zakomunikuję Knyszowi pana propozycję. Kto wie? Bądź co bądź, wygląda pan na człowieka inteligentnego, silnego i zdrowego. Ale kiedy się pan dowie, dokąd my się wybielamy, zapewne też zrezygnuje pan z udziału w naszej wyprawie.

— W żadnym wypadku! — zawołał gorąco reporter. — Jeśli państwo dacie mi obietnicy, że mój dziennik będzie pierwszym, który otrzyma wiadomość o wyprawie, nie cofnę się nigdy!

— Niech się panu nie wydaje, że to taka sobie zwykła wyprawa!

Musiałby się pan dobrze zastanowić! mówił doktor, obracając Czyńskim. — Zdaje się że wszystko w porządku. Za dwa dni pan wstanie...

Ale to nie byle jaka wyprawa — powrócił doktor do poprzedniej myśli.

Propozycja jednak pana jest zachęcająca... Idź, Ewciu, powiedz ojcu. Ciekaw jestem, co uh powie na to. Inżynier nie będzie przychylny, bo nie lubi dziennikarzy. Ale wobec naszego bliskiego wyjazdu, nie mamy znów takiego wyboru!

— Panno Ewo! — zawołał Czyński za wychodzącą. — Niech pani zechce użyć swego wpływu, jako córka na ojca, i otrzymać od niego zgodę.

Zapewniam, że jestem dobrym i wytrzymałym towarzyszem!

Panna Ewa odwróciła głowę. Na ustach jej zjawił się uśmiech wobec zapału reportera do wyprawy, o której nie miał pojęcia.

— Dobrze. Poproszę ojca, by się zgodził na pana propozycję.

Ale niech pan nie usiłuje dowiedzieć się na razie od doktora, co to będzie za wyprawa. Jeśli bowiem ojciec mój nie zgodzi się pana przyjąć na członka wyprawy, to nie należy jeszcze jej rozgłaszać.

— Ależ dałem słowo, Że nie ogłoszę ani słówka, dopóki nie otrzymam zezwolenia profesora! — powiedział Jacek, dotknięty podejrzeniem o niepowściągliwe gadulstwo.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY, W KTÓRYM MECHANIK GORZKO ŻAŁUJE SWEJ ZDRADY.

W skromnym lokalu redakcji „Błyskawicy”, pisma, będącego nieprzejeżdżanym konkurentem „Nowin dla wszystkich”, było jeszcze cicho i spokojnie. Była dopiero godzina czwarta po południu i pracownicy zaledwie zaczęli się schodzić do pracy.

W tym czasie do poczekalni dziennika wszedł niezwykle wysoki mężczyzna. Wprowadził go woźny, usiłując się dowiedzieć, co sprowadza olbrzyma do redakcji,

— Mam interes do redaktora — powtarza interesant.

— Ale muszę wiedzieć, do którego redaktora. Naczelnny przyjmuje tylko w najważniejszych sprawach. Może pan jest bokserem, to pana skieruję do redaktora sportowego?

— Nie, nie jestem bokserem!

— To właściwie w jakiej pan sprawie przyszedł?

— Chcę dać waszemu dziennikowi sensacyjną wiadomość.

— Zabójstwo jakie?

— Nie. Coś zupełnie innego.

— Niechże pan powie co. Albo przynajmniej z jakiej to dziedziny wiadomość.

— Z dziedziny rakiet.

— Rakiet? Nie wiem, co takiego...

— A widzi pan!

— Skieruję pana do sekretarza redakcji. Niech on się z panem dogada...

Niech pan spocznie, bo go jeszcze nie ma. Olbrzym obejrzał starannie krzesło, na którym miał ulokować swe potężne ciało. Siadł ostrożnie, podstawiając dla pewności własną nogę między nogi krzesła, by w razie załamania się sprzętu mieć oparcie.

Nie czekał długo. Woźny poprowadził go wkrótce do niewielkiego pokoju, gdzie za biurkiem, zavalonym stosami dzienników i listów, ledwie był widoczny szczupły i niewielki sekretarz redakcji.

— Niech pan siada — wskazał przybyłemu krzesło.

— Jestem Kolasiński — zaczął przybyły, — pracownik profesora Knyca.

— Bardzo mi przyjemnie. Cóż pan nam powie?

— Mam sensacyjną wiadomość. Co mi panowie mogą za nią zapłacić?

— Zaczyna pan od razu od wynagrodzenia, a ja jeszcze nie wiem, czy wiadomość przedstawia dla nas w ogóle jakąś wartość.

— O, na pewno! Wiadomość ta zaciekawi cały świat.

— Ho, ho! — pokiwał głową powątpiewająco sekretarz redakcji. — Niechże pan powie, o CO chodzi, a o wynagrodzenie nie będziemy się sprzeczać!

— Profesor Knycz za parę dni wyleci na swej rakiecie z Ziemi...

— Jak? Jak? — zapytał, nie wierząc swym uszom, dziennikarz. — Wyleci z Ziemi, powiada pan? I dokąd to wyleci pan profesor?

— Na Wenus!

— Hm, hm — chrząknął niepewnie szczupły człowieczek. — Na Wenus? Z Ziemi?

— Pracowałem z nim do ostatniej prawie chwili. Ale moja dziewczyna, mam narzeczoną, nie zgadza się, bym brał udział w takiej niepewnej wyprawie. Jestem mechanikiem i pracowałem przez trzy lata przy budowie rakiety z inżynierem Mileckim i profesorem Knyczem.

Miałem lecieć, ale dziewczyna...

Sekretarz patrzył podejrzliwie na Kolasińskiego. To, co słyszał, brzmiało tak nieprawdopodobnie! Ale jeśli było prawdą? Ha, wreszcie uda się pobić „Nowiny dla wszystkich” tak sensacyjną wiadomością, jakiej „Nowiny” nie zdobyły nigdy!

— Niechże pan mówi! — zachęcał Kolasińskiego.

Kolasiński począł opowiadać:

— Budowaliśmy raketę trzy lata. Wszystko jest obmyślane z całą dokładnością. Inżynier Milecki wymyślił nawet takie urządzenie, które pozwoli czuć się w tej rakiecie, jak w pokoju, choć nie będzie siły przyciągania.

— Zaraz, zaraz, niech pan mówi kolejno.

Sekretarz począł dopytywać się Kolasińskiego o wszystkie szczegóły: gdzie się rakietę znajduje, jak wygląda, kiedy nastąpi odlot.

— Odlot ma nastąpić w tych dniach. Myśmy nie wiedzieli dokładnie daty. Profesor Knycz miał nam zakomunikować o odlocie tylko o godzinę wcześniej, żeby nikt nie miał czasu żałować Ziemi — mówił. — Wszyscy byliśmy gotowi do drogi każdej chwili. Mnie zabroniła narzeczoną i powiedziała, żeby pójść do panów i o tym wam opowiedzieć, to się zarobi niezgorzej...



- Jak? Jak? — zapytał, nie wierząc swym uszom, dziennikarz.
- Niezgorzej... No, w każdym razie dostanie pan niezłą sumkę.
- Ile?
- 50 zł. będzie dosyć?
- Co? 50 zł.?! Ja myślałem, że z tysiąc!
- Oho! To z pana drogi informator!
- Bo jak się człowiek zdecydował złamać słowo, niech wie przy-najmniej, że było za co.
- A jakież to słowo pan złamał?
- Przysięgaliśmy wszyscy, że słowa nic piśniemy nikomu aż do ostatniej chwili!
- Ale pan przecież mówi, że lada chwila nastąpi odlot. No, damy panu sto złotych.
- Zaczął się targ. Sprawiał on wyraźną przykrość obydwóm. Kolasiński wreszcie wziął wciśnięte sobie w rękę dwa papierki po sto złotych i wielkimi krokami zbiegł po schodach. Przed bramą czekała na niego niewysoka, jaskrawo ubrana dziewczyna. Podeszła żywo do Kolasińskiego.
- Wiele ci dali? — zapyłała.
- Kolasiński oddał jej pieniądze.
- Tylko dwieście złotych? — powiedziała rozczarowana.
- Ja tam w ogóle nie chciałem chodzić z jęzorem i wygadywać, czego obiecałem nie mówić.
- Głupi jesteś! Skołowali ci głowę tylko, jak dziecku. Taki wielki wyrósł, a rozumu za grosz nie ma. Leć sobie, leć, kiedy ci życie niemiłe. Nie ty jeden jesteś na świecie. Znajdę sobie innego męża...
- Kolasiński nacisnął mocniej kapelusz i ze zwieszoną głową poszedł posłusznie za gderającą narzeczoną.



W sercu czuł niepokój, jak po spełnieniu brzydkiego czynu. I niepokój ten był tern dotkliwszy, że przecież do brzydkiego czynu namówiła go osoba, w której pragnął widzieć wszystko najlepsze i najszlachetniejsze.

W malutkim pokoiku hotelowym, w którym narazić zamieszkał, nie spał całą noc i z drzeniem wyczekiwał ranka, kiedy ukażą się dzienniki i cały świat dowie się o jego okropnej zdradzie.

Wczesnym rankiem zaledwie też usłyszał wołania roznosicieli pisma, zbiegł na ulicę. Chwycił z rąk chłopca płachtę papieru.

Tak, jest jego zdrada! Wyraźnie wydrukowane czarno na białym:

„Niezwykła wyprawa profesora Knycza. Co o niej mówi naszemu pismu mechanik Kolasiński, współpracownik znakomitego profesora”.

Litery poczęły skakać przed oczami nieszczęsnego olbrzyma, przysłoniły je wreszcie łzy żalu i rozpacz. Przejęty swym bólem Kolasiński nawet nie słyszał, że chłopak, powiewając numerem „Nowin dla wszystkich”, woła: — Nadzwyczajna podróż! Dziś odlatuje pierwsza rakietą na inny świat! Nadzwyczaaaa!...

## ROZDZIAŁ SIÓDMY, W KTÓRYM STOLICA ZAPEŁNIA SIE WRZASKIEM GAZECIARZY, A RAKIETOWO GAPIAMI.

Zazwyczaj pusta szosa cło Piaskowa zaroila się tysiącami samochodów, motocykli i rowerów. Z wagonów kolejki elektrycznej wyskakiwały gromady pasażerów. Zarząd kolejki uruchomił dodatkowe pociągi, gdyż nie był w stanie przewieźć tylu osób, cisnących się na stacjach. Wszyscy zdążyli do Piaskowa, a ze stacyjki biegli szosą i polami pod wysoki kamienny mur Raketowa.

W przeciągu niespełna dwóch godzin od ukazania się dzienników pole i las w okolicy Rakietowa zaczerniły się mrowiem ludzkim. Na drzewach wisały całe gromady okolicznych i przyjezdnych chłopaków, zapuszczających ciekawe spojrzenia za wysoki mur, kryjący niezwykłą raketę, która ma przewieźć kilku śmiałków w nieznane przestrzenie.

Widać było ten cudowny wóz doskonale. Błyszczał w słońcu jak niewielkich rozmiarów wieża, pogrążona częściowo w cembrowanym dole. Kręciło się kolo niej parę osób. Wszystkie jednakowo ubrane, że nie można było nawet rozróżnić z daleka, kto są te osoby.

Ciekawi, którzy nie mogli skorzystać z ryzykownego wdrapywania się na drzewa, poczęli cisnąć się do żelaznej bramy. Ale brama nie puszczała.

Rozlegał się tylko z za niej tubalny głos:

— Nie pchać się, państwo, bo i tak nikogo nie wpuszczę. Chcielibyście, żeby was pozabijało? Siedzta lepiej za ścianą!

To groźne ostrzeżenie niewiele pomagało. Napływające ustawicznie tłumy napierały coraz bardziej. Co chwila rozlegały się krzyki ściśniętych w tłoku, wołania ratunku, a nawet wymyślenia bardziej krewkich ciekawskich.

Stojący pod bramą, rozplaszczeni na zimnem żelazie wierzei, darli się najgłośniej:

— Otwórzcie, bo nas tu zgniotą!

Ale głos z za bramy odpowiadał niewzruszony:

— A jak was wpuszczę, to was tu porozrywa.

O godzinie 7-ej min. 25 zebrani byli świadkami niezwykłego odlotu.

Siedzący na drzewach podnieśli wrzask:

— Rusza się! Rusza się!

Istotnie, wielka błyszcząca wieża drgnęła. Po chwili, jakby pchnięta potężną, a ukrytą w dole sprężyną wyleciała w powietrze z cembrowanego dołu, z którego buchnął kłęb ziemi, kurzu czy pary, który ukrył całkowicie widok przed oczami ciekawych tłumów. Jednocześnie silne ciśnienie powietrza uderzyło z taką siłą na wszystkie strony, że zaskrzypiała stara żelazna brama i przerażony tłum myślał, że runie. Drzewa zakołysały się i kurczowo trzymający się gałęzi chłopcy podnieśli wrzask. Nie obyło się, niestety, bez wypadku, gdyż paru chłopców spadło z drzew, a w tłumie, który usiłował raptownie cofnąć się, zostało zgniecionych parę osób i karetki pogotowia ratunkowego przewiozły je do szpitala. Kiedy tuman kurzu opadł na ziemię, nie było już ani śladu błyszczącej rakiety.

W parę godzin później „Nowiny dla wszystkich” wydały specjalny numer. Na miasto wybiegło dziesiątki sprzedawców, krzyczących wniebogłosy:

— Dodaa nadzwyczaj!!! „Ewilit” poleciał na Wenus! Dodaa nadzwyczaj!...

Ludzie rozchwyтали natychmiast dziennik, w którym znajdował się dokładny opis odlotu pod tytułem, złożonym wielkimi literami:

„PIERWSZA PODRÓŻ MIĘDZYPLANETARNA!  
POD WODZĄ PROFESORA KNYCZA WYRUSZYŁA WYPRAWA NA PLANETĘ WENUS!  
WŚRÓD UCZESTNIKÓW WYPRAWY ZNAJDUJE SIC NASZ WSPÓŁ-  
PRACOWNIK, JACEK CZYSKI.  
PIERWSZY TELEGRAM Z „EWILITU” OD NASZEGO REPORTERA”.

Po opisie odlotu, znajdował się następujący telegram Jacka Czyńskiego:

„Lecimy. Czujemy się doskonale. Do zobaczenia za dwa lata!”

Dziennik zamieścił poza tern przedruk z wydania porannego artykułu Czyńskiego, który reporter nadesłał do redakcji w przeddzień odlotu, w tym właśnie czasie, kiedy do redakcji „Błyskawicy” zgłosił się Kolasiński.

Artykuł ten brzmiał następująco:

CO MÓWI NASZ REPORTER O NIEZWYKŁEJ WYPRAWIE.

Po długich pertraktacjach z kierownikiem wyprawy, profesorem Knyczem, udało mi się go przekonać, że powinienem wziąć udział w wyprawie na miejsce jednego z dotychczasowych członków, który cofnął się w ostatniej chwili, zmuszony do tego przez narzeczoną.

Uzyskałem miejsce w „Ewilicie” (tak bowiem ochrzciliśmy wczoraj pierwszy w świecie międzyplanetarny samolot), dzięki wstawiennictwu doktora Burlicza, nieocenionego lekarza i świetnego uczonego, oraz panny





Ewy Knyczówny, która położyła wielkie zasługi w przygotowaniu wyprawy. Mało bowiem kto wie, że panna Ewa Knyczówna, młoda, przystojna, pełna wdzięku osoba, jest, jak jej ojciec, człowiekiem nauki, którego nazwisko nie jest obce w świecie badaczy rozpadu najmniejszych cząsteczek materji — atomów. Dzięki wynalezionej przez pannę

Knyczównę i jej ojca metodzie rozbijania atomów, nasz „Ewilit” rozporządza wielką energią, że możemy podróżować z dowolną szybkością i w czasie, ograniczonym tylko przez nasze krótkie życie.

W wyprawie więc bierze udział:

1) Profesor Adam Knycz, znany powszechnie astronom i fizyk, niski siwy pan, o niezwykle ujmującym wyrazie twarzy, nacechowanej niezłomną wolą. Profesor Knycz jest naszym kierownikiem, któremu obiecaliśmy absolutne posłuszeństwo.

2) Jego zastępcą jest inżynier Stefan Milecki, jeden z pierwszych budowniczych raketowych samolotów. Jego wielką zasługą jest zbudowanie wnętrza wozu tak, że nie będziemy odczuwali braku siły ciężenia.

Wynalazek swój oparł inżynier na zastąpieniu siły ciężenia wytworzeniem siły odśrodkowej, która całkowicie usunie te niewygody, jakie wyniknęłyby wraz z zaniknięciem ciężaru wszelkich przedmiotów w przestworzach międzygwiazdnych.

3) Panna Ewa Knyczówna, która za żadną cenę nie chciała opuścić ojca i wolała pożegnać się z urokami życia na Ziemi, mimo swego młodego wieku.

4) Doktor Burlicz, którego zadaniem jest piecza nad naszym zdrowiem, a po szczęśliwym wylądowaniu badanie życia, jeśli jakiegokolwiek znajduje się na Wenus.

5) Jacek Czyński, Wasz reporter, który zdawać Wam będzie relację zapomocą radjotelegrafu, jeśli będziemy mogli nim się posługiwać w czasie tego lotu, odbywającego się z szaloną szybkością około 12 kilometrów na sekundę.

Szybkość ta nie przeraża mnie. Pocięszam się bowiem, że w dawnych czasach obawiano się „szalonej” szybkości pierwszych pociągów parowych, mknących 24 kilometry na godzinę. Twierdzili wtedy łuckie, że taki pęd pourywa ludziom głowy, że dostaną warjacji z przerażenia.

Mam nadzieję, że nie pourywa nam głów nic, bo będziemy szczelnie zamknięci w wygodnych kabinach, a profesor powiada, że nawet nie zauważymy, iż pędzimy z taką szaloną szybkością.

Najważniejsza rzecz, by nie ruszyć od razu zbyt szybko. Gdyby wybuch naszych rakiet wprowadził od razu wóz w szybkość 12 kilometrów na sekundę, wtedy zostalibyśmy po prostu rozgnieceni na cienkie placuszki na dolnej ścianie wozu. Profesor zapewnia nas, że potrafi stopniowo raketę wprowadzić w ruch tak szybki, a przy tym będziemy dodatkowo zabezpieczeni dzięki fotelom na mocnych sprężynach.

Największą troską profesora oraz inżyniera Mileckiego są... promienie, tak zwane kosmiczne.

Zapewne wiedzą nasi czytelnicy, że uczony Millikan wykrył na ziemi istnienie promieni, niezwyklej siły i niebezpiecznych dla organizmów

żyjących. Uczony ten wyraził przypuszczenie, że promienie te pochodzą z dalekich gwiazd; ziemska atmosfera osłabia ich działanie, dzięki czemu na ziemi może rozwijać się życie. Głośne loty profesora Piccarda do stratosfery miały na celu zbadanie tych promieni. Jeśli bowiem pochodziłyby one z przestrzeni międzygwiazdnych, działanie ich byłoby silniejsze w stratosferze. Profesor Piccard po swych parokrotnych lotach twierdził, że promienie te w stratosferze działają słabiej, a zatem muszą być pochodzenia ziemskiego.

Profesor Knysz ma jednak pewne wątpliwości co do ścisłości twierdzeń profesora Piccarda. Gdyby pochodziły z jakiegoś nieznanego źródła energii na ziemi, działanie ich byłoby tak silne, że powodowałyby uśmiercanie stworzeń żywych. Nic bowiem nie jest w stanie uchronić przed tymi promieniami. Przenikają one najgrubsze metalowe zasłony.

Tymczasem żyjemy spokojnie na ziemi i nic nie odczuwamy. Kto wie zatem, czy odkrywca promieni nie miał racji, czy nie pochodzą one z przestrzeni międzygwiazdnych i nie zagrażają nam Śmiercią, jak tylko „wychylimy głowę” poza granice naszej atmosfery. Być może, że osłonią nas prądy elektryczne, jakie wytworzą się dookoła „Ewilitu”, być może, że mimo swej niezwyklej przenikliwości nie będą te promienie takie straszne, by nas uśmiercić. To jest dla nas najpoważniejszą zagadką.

To też pierwsze godziny lotu profesor Knysz spędzi przy zbudowanym przez siebie przyrządzie, który ma nas ostrzec zawczasu o niebezpieczeństwie. Rakiety nasze przestaną wówczas działać i spadniemy na Ziemię.

Jutro następuje odlot w Światy, gdzie nie było nigdy żywego, ani umarłego stworzenia!”

## ROZDZIAŁ OSMY, W KTÓRYM ODKRYWAMY NIEPROSZONEGO GOŚCIA.

Pięć osób, jednakowo ubranych w rodzaj szoferskich kombinezonów, stanęło przed wielkim błyszczącym „Ewilitem”, za nimi gromadka dotychczasowych współpracowników, którzy przez szereg lat mozolili się pod kierunkiem uczonych nad zbudowaniem samolotu międzyplanetarnego. Profesor Knysz powiódł wzrokiem po zebranych. Na twarzy profesora malowało się głębokie wzruszenie. Drżącym głosem powiedział:  
— Drodzy moi towarzysze! Za kilkanaście minut opuścimy Ziemię! Po ciężkiej pracy zdołaliśmy dokonać wielkiego dla nauki dzieła: zbudowaliśmy raketę, która uniesie nas na inną planetę. Jeśli, da Bóg, wrócimy na Ziemię, z bogacimy naukę cennymi spostrzeżeniami, których

będziemy mogli dokonać, znajdując się w warunkach, w jakich nie znajdował się nigdy żaden badacz zjawisk niebieskich.

Wyprawa nasza jest niebezpieczna. Zdaję sobie z tego sprawę. Jestem jej inicjatorem i odpowiedzialność za wasze życie ciąży na mnie. Nie chcę was zmuszać do tej wyprawy. W ostatniej chwili zastanówcie się jeszcze raz i zdecydujcie, czy nie żal wam życia na Ziemi, na której urodziliśmy się i wychowaliśmy, do której przywiązani jesteśmy przez prawa fizyczne, które tam, w przestrzeniach nie będą obowiązywały.

Zastanówcie się! Jeszcze jest czas!...

Profesor umilkł na chwilę, a wtedy stojące naprzeciw niego cztery osoby jednogłośnie zawołały:

— Prowadź nas, profesorze! Nie cofniemy się!

— A więc w imię Boże! Wsiadajmy!

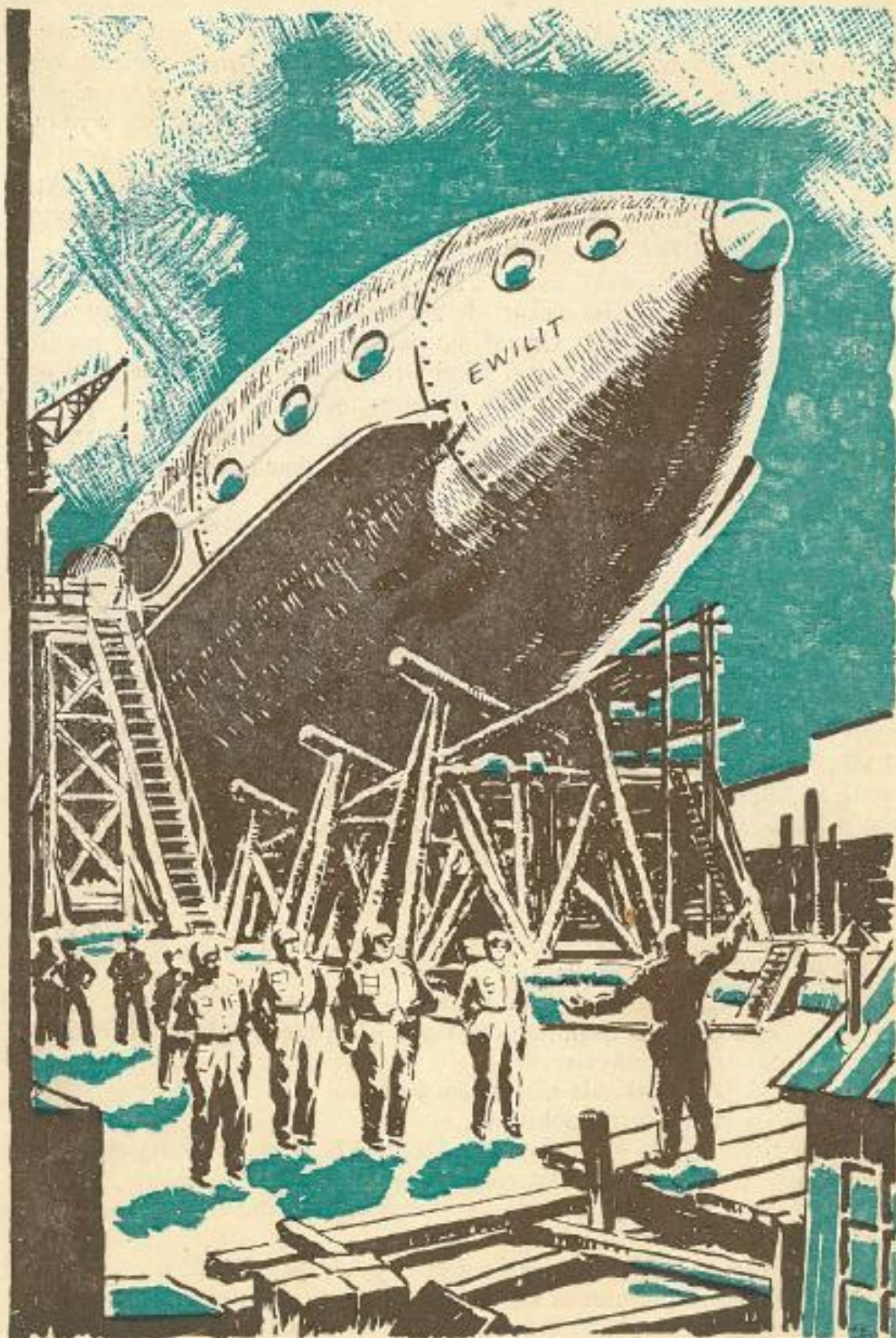
Profesor Knysz pierwszy skierował się ku otwartym drzwiom „Ewilitu”, za nim weszła córka, inżynier Miłeczki, Jacek Czyński i doktor Burlicz, z radosnym uśmiechem na dobroduszej twarzy ściskający jeszcze ręce mechaników i robotników, którzy byli zatrudnieni przy budowie „Ewilitu”. Po chwili bez szelestu zamknęła się żelazna kłapa drzwi.

Profesor zgromadził swych towarzyszy w środkowej kabinie, zaopatrzonej w wygodne fotele, wiszące na mocnych sprężynach.

— Zajmijcie fotele i nie wstawajcie z nich, dopóki nie dam wam znaku. Ja z inżynierem zajmę kabinę sterowniczą...

Profesor z inżynierem Mileckim zniknęli za małymi drzwiami, prowadzącymi na przód „Ewilitu”, a raczej jego górę.

Jacek, sadowiac się w fotelu, powiedział:



Za kilkanaście minut opuścimy Ziemię!

— Chciałbym możliwie jak najprędzej skorzystać z aparatu radjonadawczego, by przesłać telegram swej redakcji. Na pewno zecerzy siedzą przy maszynkach do składania, by złożyć tekst do wydania nadzwyczajnego „Nowin”. Pismo musi ukazać się wcześniej, niż wydania południowe innych dzienników!

— Niecnie się pan nie martwi — zauważył z uśmiechem doktor Burlicz. — Zdążymy. Za kilka minut będziemy już dość daleko, szybkość „Ewilitu” będzie jednostajna i będziemy mogli się poruszać.

— Oj! — krzyknął nagle Czyński, czując jakby na niego walił się jakiś niezmiernie wielki ciężar. Jednocześnie ujrzał, że sprężyny fotelu wydłużają się niezwykle. Chciał powiedzieć „jedziemy”, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Miał wrażenie, że dusi się, że oczy wychodzą mu z orbit, a w płuca nie może wciągnąć powietrza.

Trwało to jednak zaledwie kilka sekund. Sprężyny powoli zaczęły się kurczyć, nieznośne uczucie ciężaru poczęło znikać i Czyński zaczerpnął pełną piersią powietrza.

— Już jedziemy całą siłą naszych rakiet! — zawołała panna Ewa. — Zatoczmy teraz trzy wielkie spirale naokoło Ziemi i po trzech godzinach pomkniemy w dal!

— Czy nie można by już przejść do kabiny radjowej?

— Niechże pan siedzi! Ojciec zakazał się ruszać!

— A prawda! Ale w redakcji czekają na telegram...

W tej chwili ukazał się w drzwiach inżynier Milecki.

— Możecie państwo wstać. Lecimy już z szybkością średnią około 8 kilometrów i nabieramy szybkości 12 kilometrów na sekundę tak powoli, że tego nie odczują nasze organizmy. Profesor pozostał w kabinie, gdyż obserwuje działanie promieniomierza...

Nagle uszu obecnych doszedł cichy jęk. Przerażeni rozejrzeli się naokoło.

— Cóż to może być?

— To i pan słyszał jęk? — zapytała panna Ewa. — Myślałam, że tylko mnie się przywidziało. .

— Ale z pewnością ktoś jęknął! - - zawołał Czyński.

— Zdawało się wam, moi drodzy! - zaprzeczył doktor Burlicz.—

Czy pan co słyszał, inżynierze?

— Zdaje się tak, ale nie jestem pewny.

Chwilę wszyscy nasłuchiwali.

— Et, zdawało się wam — powiedział Burlicz, ale w tej chwili jęk, tym razem jeszcze głośniejszy, rozległ się powtórnie.

— Może ojcu co się stało! — krzyknęła panna Ewa i zerwała się z fotela.

— Ależ nie, głos dochodzi od strony naszych składów! — zawołał inżynier.

— Ktoś tam musiał się dostać!

- Inżynier pobiegł w kierunku przeciwnych drzwi, otworzył je i zniknął w ciemnościach. Za nim podążyli inni.

Zapalona lampa elektryczna oświetliła wąski korytarzyk i szereg drzwi, prowadzących do poszczególnych składzików, zawierających zapasy żywności, butle zapasowego tlenu, przyrządy naukowe, garderobę, skafandry, różnego rodzaju narzędzia, mogące okazać wielką pomoc ludziom na nieznanym planecie.

Inżynier otwierał kolejno jedno drzwi po drugim i oświetlał wnętrze.

Ponowny jęk zdradził miejsce znajdowania się nieznanego istoty w Spizarni z żywnością.

— To tu! — zawołała panna Ewa.

Inżynier szybko otworzył drzwi. Stał na progu i zawołał w największym zdumieniu:

— To ty?! Dnli-Jy



... trzy wielkie spirale naokoło Ziemi...

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY, W KTÓRYM ZIEMIA UCIEKA, SŁONCE ZMIENIA WYGLĄD, A JANEK MYŚLI O SKLEPACH NA WENUS.

Oczom obecnych ukazał się żałosny widok: na podłodze leżał nieprzytomny dwunastoletni chłopiec. Krwawa piana na wykrzywionych bólem ustach spływała na jego ciężko dyszące piersi. Chłopiec miał zamknięte oczy i był nieprzytomny. Doktor Burlicz podbiegł ku niemu i ukląkł przy leżącym.

— Cóż to za chłopiec? — zapytał zdumiony Czyński.

— To synek dozorczy Rakietowa — wyjaśniała pośpiesznie przejęta panna Ewa. — Bardzo zdolny i dzielny chłopiec. Prosił ojca, by go zabrał z nami na wyprawę, ale ojciec nie chciał się na to zgodzić. Widocznie zakradł się wbrew zakazowi do „Ewilitu” i... oto znajduje się między nami w stanie godnym pożałowania... Panie doktorze; czy mu się nic nie stało?

— O, odchoruje poważnie nieposłuszeństwo. Trzeba będzie go wygodnie ulokować.

Jacek Czyński podniósł bezwładnego chłopca z ziemi.

— Niech pan Janka zanieś do mojej kabiny — powiedziała panna Ewa. — Ja się nim zaopiekuję.

Jacek Czyński spełnił polecenie panny Ewy i pobiegł natychmiast do kabiny radjowej, by nadać depezę do swego dziennika.

Otworzył mikrofon i wygłosił:

— Lecimy! Czujemy się doskonale. Do zobaczenia za dwa lata.

Okazuje się, że mamy jeszcze jednego niezaproszonego towarzysza podróży...

I w dalszym ciągu opisał pierwsze wrażenia odlotu z Ziemi. Patrzy przez grubą szybę na Ziemię i mówił dalej:



...leżał nieprzytomny dwunastoletni chłopiec.



Patrzę przez odsłonięte okienko w stronę Ziemi. Nie widzę jej w tej chwili wyraźnie. Jesteśmy jeszcze zbyt blisko, a mkniemy z przerażającą szybkością około 10 kilometrów na sekundę. Przede mną migają tylko jaskrawo świecące smugi. Domyślam się zaledwie, że to Ziemia. Tych słów Jacka Czyńskiego nie odebrał już krótkofalowy odbiornik redakcyjny. Prawdopodobnie wiry elektryczne, tworzące się naokoło wozu, zmieniały fale i uniemożliwiały dotarcie ich do Ziemi.

Reporter jednak zadowolony z dobrze spełnionego obowiązku, zamknął wreszcie mikrofon i powrócił do ogólnej kabiny. Zastał tu tylko inżyniera Mileckiego.

Milecki najdłużej i najenergiczniej sprzeciwiał się zabrani Czyńskiego na wyprawę. Okazywał reporterowi wyraźną niechęć, to też przy każdej okazji starał się mu to okazać.

— Cóż, redaktorze — podjął na widok dziennikarza, — najadł się pan porządnego strachu?

— Nie miałem czasu, szanowny inżynierze. A obecnie czuję się niegorzej od pana.

— No, zobaczymy, co będzie dalej.

„Dalej” jednak nie działo się nic tak bardzo przerażającego. Jacek Czyński godzinami przesiadywał przy odsłoniętym oknie, przez które patrzył na malejącą Ziemię. Z chwilą, kiedy „Ewilit” po trzech godzinach lotu, zakreśliwszy wielkie spirale naokoło Ziemi, pomknął w kierunku Wenus, stara planeta stała się wyraźnie widoczna. Jej wielki błyszczący krąg zajmował jeszcze prawie całe pole widzenia. Przed zachwyconymi oczami obserwatora jawił się widok imponujący swą niezwykłością i pięknem: ciemne tonie oceanów, z połyskującymi plamami i punktami wysp, rozległe wielobarwne kontynenty, odbijające oślepiające światło słoneczne. Długo patrzył Jacek na znany dobrze z map kształt, przysłonięty w niektórych miejscach z lekka smugami chmur. Od Karpat kładły się długie cienie na rozległe ciemnozielone plamy łąk i lasów...

W Polsce zbliżał się wieczór. Coraz bardziej ciemniały zachodnie jej zarysy, stapiając się z ciemnym tłem Bałtyku i jezior północnych...

A kiedy przed oczami Czyńskiego, znużonymi ciągłym wpatrywaniem się, zaśniły jaskrawym blaskiem wysokie góry południowej Azji, przeszedł do innej kabiny, by patrzeć na Słońce.

Jakże ono miało odmienny wygląd, niż oglądane z Ziemi! Nie było okrągłą tarczą przejasną, w której dzikie ludy czciły świetlanego boga, a w średniowieczu, dzięki jego jasności, za grzech uznano twierdzenie, jakoby na obliczu słońca miały znajdować się plamy. W tych okolicach bezpowietrznych słońce było widoczne jak wielkie rozwichrzone ognisko o płomiennych w nieładzie rozrzuconych włosach, jak wiązka ognistych

włókien, niezręcznie przepasana pośrodku. Widać było wyraźnie plamy, sterczące z powierzchni na krańcach wytryski ogniste.

Znużony obserwacjami Czyński szedł do kabiny środkowej. Tu można było odpoczywać spokojnie. W innych kabinach dawał się coraz wyraźniej odczuwać brak siły ciężenia. Ciało stało się niepomiaralnie lekkie. Trzeba było poruszać się z jak największą ostrożnością, by gwałtowniejszy ruch nie był przyczyną nabicia sobie guza. Przy tym serce nie pracowało normalnie. Jak twierdził doktor Burlicz, praca serca musiała wyrównać braki w układzie krwionośnym, które powodowały zanikanie wagi krwi. Leżał tu Janek Gałązka, pod troskliwą opieką doktora Burlicza przychodzący do sił. Czyński, nie lubiący siedzieć bezczynnie, wypytywał chłopca o wrażenia z chwil odlotu.

— Bałem się bardzo pana profesora - mówił Janek. — Nie chciałem przecież mnie zabrać na wyprawę. Ale ja miałem taką chęć jechać! Po-cichu wszedłem do „Ewilitu” i siedziałem tam bardzo, bardzo długo. Ciemno było, ale nie byłem głodny, bo byłem w spiżarni. Zresztą wcale nie jadłem dużo, bo wiem, że zapasów żywności może zabraknąć, jeśli się zjawił jeszcze jeden podróżny, nie chcę więc nikogo objadać!

— E, mój drogi — wtrącił się doktor Burlicz, który przed chwilą wszedł do kabiny. — Starczy tych zapasów na parę lat, nie trzeba było tak znów bardzo oszczędzać!

— Nie wiedziałem tego, ale wolałem być ostrożny. Nie wiadomo, czy na Wenus będziemy mogli co kupić...

— Ha, jeśli tam jest jakiś porządny sklep kupiecki i używają naszych pieniędzy!... Tylko, czy wzięliśmy ze sobą trochę gotówki, to nie wiem... — roześmiał się reporter.

— Wątpię, mój Janku, czy na Wenus są sklepy... Zresztą zobaczymy.

— Opowiadaj dalej, chłopcze — zachęcał Czyński, — muszę to wszystko spisać, bo myśmy w innych warunkach wyruszyli w wszechświat: na wygodnych fotelach ze sprężynami, a ty na podłodze.

— Dobrze nie pamiętam, jak się to stało. Ale kiedy „Ewilit” drgnął, to od



... czy na Wenus są sklepy...

razu na mnie coś się zawaliło i potem już nic nie pamiętam.

— Nic się na ciebie nie zawaliło, tylko nagły ruch wstrząsnął twoim organizmem, że jeszcze parę tygodni nie pozwolę ci się poruszać. Narobiłeś sobie szkody nieposłuszeństwem i dziękuj Bogu, że jeszcze żyjesz. Niewiele brakowało, a zostałbyś zmiażdżony! No, ale teraz uszy do góry! Wszystko jest w porządku, tylko nie poruszaj się gwałtownie.

Może za tydzień pozwolę ci już usiąść.

— A pan profesor bardzo się na mnie gniewa?.

— A co by się tam miał gniewać na takiego skrzata! Pewnie, że nie jest zachwycony twoim nieposłuszeństwem, ale stało się!

— Niech pan go poprosi, żeby się na mnie nie gniewał. Ja bardzo kocham pana profesora i pannę Ewę i pana...

— A mnie nie? — zagadnął z uśmiechem Czyński. --- Nie czytam ci to książek? Nie usługuję ci, nie podaję jeść i nie karmię z panną Ewą?

— O, i pana też bardzo kocham, ale pan chyba nieraz ze innie żartuje. Teraz na przykład z tymi sklepami na Wenus...

— Wcale nie żartuję. Myślisz, że wiem wiele o Wenus? Grubo się mylisz.

Profesor pewnie wie dużo więcej, ale też nie wie wszystkiego, co należałoby wiedzieć. Czekaj, poprosimy go, to nam opowie.

Niestety, i Czyński i Janek musieli poczekać na wiadomości o planecie, gdyż profesor zajęty był nowym spostrzeżeniem, które napawało go poważną troską.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY, W KTÓRYM ZNAKOMITY ASTRONOM KRĄŻY. JAK KSIĘŻYC.

Profesor Knycz siadł właśnie, a właściwie w pół leżał w kabinie sterowniczej, kiedy wszedł do niej inżynier Milecki. Inżynier od razu spostrzegł głęboką brózdę na czole profesora i zasępioną twarz. — Cóż to, profesorze, jakieś niepomyślne spostrzeżenie. — Zgadłeś, inżynierze! Działanie promieni kosmicznych potęguje się niepokojąco! Spójrz tylko! — wskazał na niewielki przyrząd, w którym znajdowało się oszklone okienko, a za nim widniał nawinięty na bębenek papier i wskazówka, kreśląca na nim falistą linię.

— Zastanawiające jest niezwykle wahanie wykresu. W pewnej odległości od Ziemi przebyliśmy pas dość znacznego działania promieni kosmicznych. Ta zmiana ich działania niewątpliwie uzależniona jest od różnych warunków w tych nieznanym przez człowieka przestworzach. Zapewne ma tu wpływ i potężne promieniowanie energii słonecznej we wszelkiej jej postaci. Ale od kilkunastu godzin, popatrz, krzywa stale się wznosi, co oznacza spotęgowanie działania promieni, mogących nam przynieść zgubę! Doktor Burlicz poczynił już obserwację nad naszymi organizmami. Decydującym jednak będzie spostrzeżenie, jakie zamierzam uczynić, wyszedłszy z „Ewilitu”.

— Czy to nie za wcześnie, profesorze? Siła ciężenia „Ewilitu” może być niedostateczna!

— O, nie! Tego się nie obawiam!

— A jednak nie może być mowy o tym, by profesor opuszczał „Ewilitu”! Raczej ja to uczynię. Jeśli nawet nie uda mi się wrócić, dla doprawdy będzie to strata mniejsza.

— Ależ nigdy na to się nie zgodzę!

— Przepraszam bardzo — odezwał się nagle Czyński, który stanął na progu, — że podsłuchałem rozmowę panów. Przyszedłem właśnie do pana profesora jako delegat w imieniu własnym i Janka z pewną propozycją, którą zresztą odłożę, wobec poważniejszego zagadnienia, jakim są panowie teraz zaprzątnięci. Słyszałem jednak, że chodzi o zaryzykowanie własnej osoby. Służę więc panom. Obydwaj panowie jesteście bardziej potrzebni „Ewilitowi”, niż ja, reporter, zechciejcie więc mną rozporządzać!

— Ależ drogi panie Jacku! — zawołał wzruszony profesor.

Moja osoba najzupełniej tu wystarczy. Nie uczynię zresztą nic, nie mając wielkiego prawdopodobieństwa powrotu do „Ewilitu”. Nie chodzi tu o jakieś nierozważne bohaterstwo!

— Wszystko wykonam ściśle według wskazówek pana profesora



Spójrz tylko! — wskazał na niewielki przyrząd...

— Zapominacie panowie, że ja tu jestem. Ja mam pierwszeństwo! — zawołał inżynier Milecki.

— Panowie! Tu niema współzawodnictwa! Zresztą ja decyduję — wtrącił profesor, widząc, że obydwaj towarzysze gotowi są pokłócić się, choć byłby to spór szlachetny. — Zechciejcie więc pomóc mi tylko ubrać się! Inżynier Milecki niech zajmie kabinę kierowniczą, a pan Czyński uda się ze mną. Wkrótce profesor z pomocą Czyńskiego przybrał się w specjalnie sporządzony skafander metalowy, zaopatrzonego w zbiornik tlenu i szereg przyrządów, zapewniających całkowite bezpieczeństwo w przestrzeniach, w których niema powietrza, ani ciśnienia, a panuje temperatura, w której najlżejsze gazy mogą się zamienić w ciała stałe.

— Wiec pan profesor chce sobie po prostu wyjść z „Ewilitu”? — zapytał Czyński zdumiony. — Czy jest jakie uszkodzenie na powierzchni?

— Nie. Muszę się oddalić na pewien dystans od wozu, by poczynić pewne obserwacje. Wydaje mi się, że jesteśmy otoczeni pewnymi falami, które do pewnego stopnia chronią nas przed innymi promieniami, mogącymi grozić

niebezpieczeństwem. Przypuszczam, że ochronna powłoka, jaka się wytworzyła wokoło „Ewilitu”, może dałaby się wzmóc nie, gdybyśmy przez ściany naszego wozu puścili prąd elektryczny.

— A jakże profesor myśli się oddalić od „Ewilitu”? Przecież poza wozem jest przestrzeń pusta.

— O, to nic przeszkadza mej wycieczce. Niech pan sobie wyobrazi, że na pewien krótki czas stanę się księżycem „Ewilitu” i będę krążył wokół niego bez obawy, że mogę się oderwać od jego sfery przyciągania .

— Panie profesorze, niech mnie pan zabierze na tę przechadzkę! To musi być coś niezwykłego! Tego nie czynił żaden reporter!

— Nie, tym razem ja sam udam się na wycieczkę. Wkrótce wszyscy dla urozmaicenia sobie podróży będziecie to mogli czynić z zachowaniem pewnych ostrożności.

W każdym razie, niech pan zwraca na mnie uwagę! Oto w razie, jeśli pan zauważy w moich ruchach coś niepokojącego, niech pan naciśnie ten guzik. Wysunie się wtedy ze Ściany wozu coś w rodzaju metalowej łapy która mnie schwyci i wciągnie do kamery wyjściowej. Po chwili profesor zamknął się w kabine wyjściowej, a w parę sekund później Czyński przez okienko obserwacyjne zobaczył, jak profesor Knysz odepchnął się ręką od powierzchni „Ewilitu” i zawisł w pustej przestrzeni, trzymając w ręku metalowe pudełko, od którego odbijały się jaskrawe promienie słoneczne.

Profesor zachowywał całkowity spokój w ruchach. Od czasu do czasu wyciągał rękę z przyrządem, poczym zbliżał go do okienka, przez które obserwował świat. Trwało to wszystko zaledwie kilkanaście minut, które Czyńskiemu wydawały się wiekiem. Trzymał rękę przez cały czas w pobliżu guziczka, by natychmiast go nacisnąć w razie spostrzeżonego niebezpieczeństwa.

Nagle reporter sam zadał sobie pytanie:

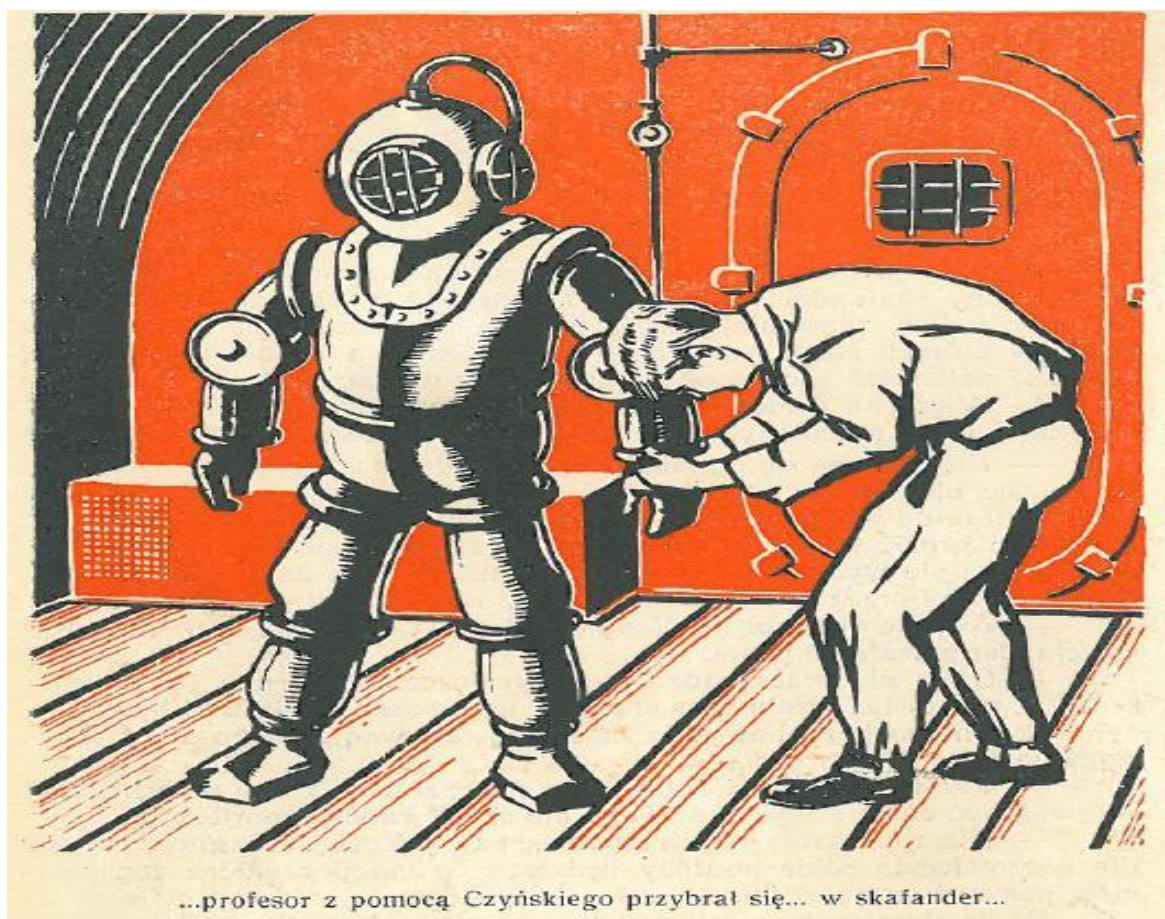
— Profesor, chcąc się znaleźć w tern miejscu, gdzie przebywa obecnie, odepchnął się od wozu ręką, od czego się odepchnie teraz, by znaleźć się przy wozie?

Czy pójść się spytać inżyniera? Odczuwał do niego niechęć. A jeśli to grozi profesorowi zawieszeniem po wieczne czasy obok „Ewilitu”? Jest przecież ta mechaniczna łapa, o której wspominał profesor! Może ją już nacisnąć?



Czyński trwał w rozterce...

Czyński trwał w rozterce, nie odrywając oczu od zawieszonoego w przestrzeni uczonego.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY.

### W KTÓRYM „NIEOŚWIECENI” JACEK I JANEK ZDOBYWAJĄ TROCHĘ WIADOMOŚCI.

Z wielką ulgą zauważył Czyński że w pewnej chwili profesor Knycz począł wykonywać wolne ruchy, przesuając ciężar nóg i rąk w kierunku wozu.

— Aha! — zawołał Czyński. — Rozumiem! Profesor zmieni środek ciężkości swego ciała i tym sposobem spadnie na „Ewilit”. Upadek ten będzie powolny, bo siła przyciągania „Ewilitu” na pewno nie jest wielka! Reporter odetchnął z ulgą, otarł pot z czoła i już spokojnie oczekiwał



powrotu uczonego do „Ewilitu”. Nie była to taka łatwa i prosta sprawa. Powrót trwał około pół godziny. Ruchy uczonego przyśpieszały go nieco, ale dopiero po długich, wyraźnie mozolnych wysiłkach profesor Knycz znalazł się w kabinie wyjściowej. Czyński witał profesora szczerze uradowany i pomagał mu zdjąć ciężki kostium „międzygwiazdowego nurka”. Przeszli obydwaj do kabiny kierowniczej, gdzie oczekiwał na nich z niecierpliwością inżynier.

— Moje przewidywania — powiedział profesor — okazały się słuszne. W największym stopniu zabezpieczają nas przed promieniami kosmicznymi prądy elektromagnetyczne, w których płynie „Bwilit”. Zatem możemy spróbować spotęgować je i uchronić się przed ich zabójczym działaniem.

Od tego czasu nie było mowy o promieniach kosmicznych, choć nie przestały one być przedmiotem skrupulatnych badań profesora. Stwierdził on przy tym niezbitcie, że przypuszczenie prof. Piccarda, jakoby miały one pochodzić z Ziemi nie odpowiada rzeczywistości i że w tym wypadku miał rację ich sławny odkrywca prof. Millikan.

Nastąpił więc moment, kiedy Jacek Czyński zjawił się znów przed profesorem, jako delegat w imieniu własnym i Janka.

Stanąwszy przed profesorem, Jacek wygłosił krótkie przemówienie:

— Panie profesorze! Na „Ewicie” znajdują się dwaj nieoświeceni ludzie: Janek i ja. Uczyłem się kiedyś trochę astronomji ale tak niewiele, że zaledwie mam okruchy wiadomości z tej najpiękniejszej z nauk. Zechciej zatem oświecić mnie i Janka o celu naszej podróży i przewidywaniach, co nas tam czekać może.

Profesora ubawiło przemówienie dziennikarza i chętnie wyraził swą zgodę. Zasiadłszy w kabinie „salonowej”, jak ją przezwał reporter, profesor powiedział:

— Z przyjemnością zajmuję miejsce między wami. Pobyt w kabinie kierowniczej, gdzie człowiek nie odczuwa ciężaru własnego ciała, nie należy do przyjemności i chętnie tu wypocznę, trud czuwania nad lotem zostawiając inżynierowi. Lecimy więc na Wenus i chcielibyście wiedzieć, czego się możemy spodziewać po tej niewiele znanej planecie?

Istotnie niewiele o niej wiemy, a przede wszystkim rzeczy najważniejszej: jaki jest czas obrotu tej planety dookoła własnej osi. Jest to dla nas sprawa najdonioślejsza. W ostatnich latach wynaleziono sposób fotografowania poprzez mgły za pomocą promieni bardzo przenikliwych.

Niestety, nie miałem czasu zająć się zastosowaniem tego sposobu w zdjęciach astronomicznych. Nie wiem, czyby praca moja dała pożądany wynik, ale nie wątpię, że ktoś to uczyni, a może już to zrobił, a tylko nie doszło to do naszej wiadomości. Nad powierzchnią więc Wenus, ustawicznie unoszą się niezwykle gęste chmury, nie udało się nigdy zobaczyć nam jej powierzchni i dlatego nie mogliśmy określić, czy Wenus obraca się dookoła swej osi, na podobieństwo Ziemi, w ciągu 24 godzin i posiada noce i dni, czy też, na podobieństwo Księżyca naszego, zawsze jest zwrócona jedną stroną do Słońca, a drugą pogrążona w wiecznym mroku. Gdyby tak było, można by przypuszczać, że planeta Wenus jest ciałem zamartwem.

Nie będę wam wyjaśniał, dlaczego tak sędzę, ale to zjawisko wyrównania obrotu naokoło Słońca z czasem obrotu dookoła własnej osi zdaje się świadczyć o stanie zamierania danego ciała niebieskiego.

Mamy tego wymowny przykład na naszym Księżycu. Niewątpliwie dawniej Księżyc, krążąc naokoło Ziemi, o wiele szybciej obracał się naokoło swej osi. Z czasem dopiero ruch ten stawał się powolniejszy, aż Ziemia, że się tak wyrażę, przykuła Księżyc do siebie i zmusiła go do zaprzestania tego obrotu. Przypuszczam jednak, że z Wenus tak nie jest, to znaczy, że obraca się ona naokoło swej osi w czasie, wynoszącym mniej więcej tyle, co na Ziemi, to jest około 24 godzin. Jest to jeszcze jedno podobieństwo więcej Wenus do naszej starej Ziemi. Wiecie naturalnie, że planeta ta jest znacznie bliżej Słońca, na Ziemia i dlatego panuje tam znacznie wyższa temperatura, niż u nas. Według obliczeń, temperatura przeciętna powinna tam wynosić około 80 stopni...

— O! — zawołał przerażony Czyński: — To my się tam ugotujemy na twardo!



— Ale i w tym wypadku należy wziąć pod uwagę wielkie zachmurzenie na Wenus, łagodzi ono niewątpliwie tak znacznie temperaturę, że będziemy się czuli tylko tak jak w krajach podzwrotnikowych, a nie jak w ukropie! Wielka wilgoć w powietrzu będzie nam pewnie nieco dokuczała, jak również brak słońca. Ale postaramy się nie przedłużać tam naszego pobytu.

— Jak prędko znajdziemy się na Wenus? — zapytał jeszcze Jacek Czyński,

— Musicie jeszcze uzbroić się w cierpliwość. Za niespełna dwa miesiące. Ale nie będziecie się nudzili w czasie drogi. Pozwolę już wam urządzać wycieczki poza „Ewilit”...

— Hurra! — zawołał Czyński. — Jeśli profesor pozwoli, to choćby zaraz!



...cała trójka znalazła się na wysuwalnej balustradce.

ROZDZIAŁ DWUNASTY, W KTÓRYM REPORTER PRYZNAJE SIĘ, ŻE  
OBLECIAŁ GO STRACH.



W kabine wyjściowej zebrała się prawie cała załoga „Ewilitu”. Czyński, panna Ewa i Janek mieli udać się na „wycieczkę”. Janek co prawda po prostu zniknął w zbyt wielkim dla niego skafandrze, gdyż nie było w magazynie „Ewilitu” żadnego odpowiedniego dla jego niewielkiej figurki, ale jakoś urządził się w nim i wielce zadowolony stawał obiema nogami w jednej nodze skafandra.

Wreszcie drzwi się otworzyły i cała trójka znalazła się na wysuwalnej balustradce. Jacek Czyński poczuł się nieswojo. Nieważkie jego ciało przyległo do ściany „Ewilitu”, drobnego pyłku, a naokoło nie istniało nic.

Gdzieś daleko mignęła jakaś czerwona bryła: jakieś drobniutkie ciało niebieskie, widzialne dzięki promieniom słonecznym, ciało, które w swej błędnej wędrówce może zabłądzi na daleką już Ziemię, rozedrze jej atmosferę, od tarcia w niej rozpali się i pomknie dalej w nieznane puste przestrzenie, czy też spali się do cna, a ludzie powiedzą, że widzieli gwiazdę spadającą; albo też ciało to rozpęknie się z wielkim hukiem i w postaci gradu rozpalonych kamieni spadnie na Ziemię, a ludzie powiedzą, że spadł bolid czy tiranolit.

— Jakże teraz oderwać się od tej jedynej „ziemi”, która nazywa się „Ewilit”? Zawisnąć w przestrzeni, jak ten kamień, który pomknął samotnie? A jeśli coś się wydarzy niespodzianego i zagubię się jak on — sam w tej marnej osłonie skafandra?! Po „kilku dniach nieznane siły pociągną mnie w pustkę i zginie mi z oczu jedyna ludzka rzecz — „Ewilit”!

Reporter wstrząsnął się. Ale właśnie zobaczył, że panna Ewa odepchnęła się ręką od metalowej ściany wozu. Poszedł za jej przykładem, a wkrótce ujrzał, że uczynił to samo Janek. Zrobił to jednak tak słabo, że wkrótce znów opadł na ścianę „Ewilitu” i na niej już pozostał.

Silne pchnięcie rzuciło Jacka dość daleko. Kiedy ujrzał, jak „Ewilit” zapada się gdzieś w przestrzeń, zdrętwiał:

— Czy nie za mocno się odepchnąłem? — pomyślał przerażony. Dzieliło go od wozu ze trzydzieści metrów. W przestrzeni dzięki niezręcznemu odepchnięciu się Jacek obracał się naokoło swej osi.

I widział raz jaskrawą głównię Słońca, raz wielką tarczę Ziemi, rozbłyskującą potężnym odbitym blaskiem, to otchłań, przerażającą swą głębią, drgającą mrowiem gwiazd.

Począł przeginać się, jak to zaobserwował u profesora i z wielkim zadowoleniem przekonał się, że „Ewilit” przybliżyła się do niego. Spostrzegł też, że to samo czyni panna Ewa. Janek natomiast zniknął

Z powierzchni „Ewilitu”!

Krew zamarła w Jacku. Co się z nim stać mogło? Czynił coraz gwałtowniejsze ruchy, by jak najprędzej dotrzeć do „Ewilitu” i upewnić się,

że Janek nie spadł w otchłań, że może został wciągnięty do środka przez czuwającego nad nimi profesora.

Tak rzeczywiście było.

Kiedy wszyscy znaleźli się z powrotem we wnętrzu „Ewilitu”, Jacek nie ukrywał swych wrażeń:

— Przyznam się szczerze, że tchórz mnie obleciał. Przeżyłem uczucia niezwykle i nie mogę powiedzieć, że zachwycające. Pomijam już to, że przeląknęłam się o Janka, ale tak zawisnąć w pustce! Brr! Nigdy nie czułem się tak samotny, zdany na łaskę nieznanymi mi sił i przypadków! Na Ziemi człowiek jakoś sobie może poradzić w najcięższej choćby chwili! Ale co może zrobić zamknięty w skafander, z ograniczoną ilością powietrza, bez jedzenia, bez towarzysza?

— I ja nie czułam się dobrze — powiedziała panna Ewa. — Bałam się, że „Ewilit” odleci ode mnie, choć wiem, że byliśmy i będziemy zawsze z nim związani niewidzialnymi niemi siły przyciągania.

Następne wycieczki nie były już tak straszne dla załogi „Ewilitu”: przyzwyczaili się do nich i znajdowali wiele przyjemności w zawieszeniu wśród przestworzy, bez wagi, ze ściśniętym sercem, przepełnieni niezwykle myśłami.

Dni mijały na ogół bardzo monotonnie. Jediną rozrywką było przebywanie w jednej z większych kabin, gdzie nie odczuwało się siły ciężenia i zabawianie się „lataniem” w dowolnej pozycji. Janek wyćwiczył się w nowego rodzaju rozrywkach: wylewał tam wodę, która unosiła się w powietrzu w postaci pięknych srebrzystych kul. Sunął za nimi w przestrzeni i chwycił je ustami, ale nie mógł przełknąć, choć wodę miał w ustach. Przywykli do przebywania w tej kabynie i nie odczuwali już ani zawrotów głowy, ani ucisku w sercu, które dawało się początkowo bardzo we znaki. Monotonie godzin, mierzonych skrupulatnie za pomocą dokładnych chronometrów, a nie odczuwanych zupełnie z powodu braku dni i nocy przerwał wreszcie profesor.

Siedzieli właśnie przy wspólnym posiłku z wyjątkiem inżyniera, kiedy profesor Knycz odezwał się:

— Moi kochani, przygotujcie się do lądowania. Za tydzień spadniemy na powierzchnię Wenus!

Rozległy się radosne okrzyki. Jedynie doktor Burlicz przyjął tę wiadomość niechętnie.

— Cóż to nasz doktor niezadowolony? — zapytał Jacek. — Jestem zawsze zadowolony. Ale przyznam się szczerze, że... że... — Niechże doktor powie!

— Po prostu wobec mojej tuszy (a na „Ewlicie” roztyłem się jeszcze bardziej) studzi mój zapał oczekująca nas temperatura, w której będę musiał się poruszać. —

Niechże się doktor nie martwi. Zawszeć nieco doktor będzie mniej ważył na Wenus, niż na Ziemi. Każdy kilogram ziemski waży tam 826 gramów! — To już jest przynajmniej pociecha! Nic wiem, czy bardzo odczuję różnicę półtora kilograma na wadze swego ciała. — Ale będzie miał

doktor tam dużo powietrza! Powinno ono być bardziej orzeźwiająca, niż na ziemi!

Wkrótce profesor Knych przyniósł inną wiadomość:

— Możemy spokojnie lądować na Wenus! Z tej odległości udało mi się stwierdzić bezspornie, że czas obrotu Wenus dookoła osi wynosi 23 godziny, 45 minut i 27 sekund!

Od tej chwili cała załoga przesiadywała przy oknie obserwacyjnym i wpatrywała się w niebo, na którym widniała czerwieniejąca w blaskach słońca obręcz. To promienie słoneczne załamywały się w atmosferze wenusowej naokoło planety, pogrążonej od lewej strony w ciemnościach.

Daleko Ziemia błyszczała wśród gwiazd jako największa złocista gwiazda...

**ROZDZIAŁ TRZYNASTY, W KTÓRYM JACEK I PANNA EWA ODCZUWAJĄ NIECHĘĆ DO OWADÓW.**



„Ewilit” zaczął zataczać wielkie kręgi naokoło Wenus, podobnie jak zataczał je, opuszczając Ziemię. Obserwujący przez okno planetę wraz z panną Ewą i Jankiem — Czyński widział wielki dysk planety, zasnuty całkowicie chmurami. Nie było w nich ani szczelinki, która by pozwoliła choć raz zerknąć na nieznaną i niewidzialną jej powierzchnię. Ale profesor nie ustawał w pracy. Właśnie kiedy tak patrzyli w milczeniu na kłębowisko zasnuwających się jedna na drugą potężnych mas mgieł, podszedł do swej gromadki i podał im karton.

— Popatrzcie! — powiedział.

Na kartonie malował się jakiś niezwykły widok: jakby rozległa przestrzeń wodna, a na niej plama, niby wyspa strzępiasta.

— To pierwsza fotografia z Wenus — objaśnił profesor. — Udało mi się dokonać zdjęcia za pomocą promieni niewidzialnych. — Sama woda?

— zapytał rozczarowany reporter. — Nie, są i lądy. O tu jakaś wyspa, a tam na skraju również zarys jakiegoś lądu.

— A co będzie, jeśli „Ewilit”

wpadnie w morze? — Do tego nie dopuścimy. Mamy możliwość kierowania „Ewilitem”!

Kiedy znajdziemy się nad powierzchnią Wenus, nasze rakiety pozwolą nam posuwać się nad nią z szybkością już nie międzyplanetarną, a prawie normalną ziemską: w granicach od 200 do tysiąca kilometrów. Patrzcie teraz bacznie, gdyż za chwilę zapadniemy się w chmury, a wkrótce wynurzymy się z nich i wtedy na własne oczy zobaczycie powierzchnię planety.

— A nie wpadniemy na jaką górę? — Od tego mamy odpowiednie przyrządy, którymi się właśnie posługiwałem, by dokonać tego zdjęcia. One uchronią nas przed możliwością roztrzaskania się o jakieś niegościnnie i groźne skały wenusowe!

Nosy trzech osób przyłgnęły ponownie do szyby. Istotnie wkrótce świat zniknął przed ich oczami. Znaleźli się w gę-



siej parze, która przesłaniała widok. Nie trwało to jednak długo. Po pewnym czasie poprzez mgłę zaczęły majaczyć jakieś kontury i nagle... roztoczył się przed nimi widok niezwykły. Ujrzeni w dole niezmierną przestrzeń wodną, z której wystrzelał masyw skalny, pokryty niezwykłych rozmiarów roślinnością. Przyjrzeni się jej dokładnie. Przypominała ona ziemskie mchy i pleśnie, rozrosłe do gigantycznych rozmiarów w całej okazałości swych rozlicznych i dziwacznych kształtów. Na piasku pobraża poruszały się jakieś potwory kolosalnych rozmiarów. W wodzie nurzały się i przewalały jakieś inne stworzenia, których kształt był trudny do uchwycenia ze względu na wielką ruchliwość zwierząt. Były one również wielkich rozmiarów. Jacek ocenił te rozmiary na kilkadziesiąt metrów!

— No, zdaje się, że tu podobnych do nas istot nie znajdziemy! — powiedział. — Kto wie? O ile wiem, jesteśmy nad okolicami równikowymi, które sprzyjają wybujałościom — mówiła panna Ewa. — Może w kierunku bardziej północnym natrafimy na odmienne nieco warunki, bardziej sprzyjające powstaniu istot wyższych?

— Może nawet na sklepy, gdzie Janek dokupi żywności — roześmiał się reporter, przypominając sobie kłopoty Janka.

Tak, jak mówiła panna Ewa, widocznie sądził i profesor, bo „Ewilit” przyśpieszył szybkość i leciał na wysokości 100 — 150 metrów, omijając napotymane wyspy, które niczym nie różniły się od już widzianej. Po dłuższym locie nad jakimś oceanem, pozbawionym najmniejszej wysepki, „Ewilit” znalazł się nad morzem zieleni. Nad nim unosiły się chmury jakichś wielkich stworzeń, czyniących wrażenie potężnych owadów. W pewnej chwili jedno z tych stworzeń znalazło się w pobliżu „Ewilitu”. Kilkumetrowej rozpiętości skrzydła prawic przezroczyste, gładki, potężny białawy odwłok, potężna głowa, zaopatrzona w równie potężne żwaczki czyniły wrażenie odrażające.

— Nie znoszę owadów! — oświadczył uroczyście Czyński. — Wolałbym mieć do czynienia z samymi krokodylami i hipopotamami. — Z tak wielkimi owadami, istotnie, byłoby okropnością się zetknąć! — wzdrygnęła się panna Ewa.

Widocznie skrzydlate potwory uznały „Ewilit” za wroga, gdyż cała ich chmura otoczyła wóz, który w pędzie rozbijał ich wielkie ciała, a wybuchy rakiet rozrywały je na kawałki. Dopiero przyśpieszenie szybkości „Ewilitu” uwolniło wóz od przykrego towarzystwa.

— Deszczu tu nie brak — zauważył znów Jacek, patrząc smętnie na strugi wody, spływające po szkle.

Po dwóch godzinach lotu ze znacznie zwiększoną szybkością przed oczami podróżnych znów zjawił się ląd. Wąski mulasty brzeg pokryty był zielenią, ale nieco dalej wznosił się on stromo i z morza zieleni wyłaniała się naga skała.

Profesor Knycz zdecydował się lądować.

„Ewilit” zatoczył kolo i wprawnie kierowany ręką inżyniera Mileckiego opadł przy działaniu rakiet hamujących na spostrzeżoną nagą skałę.

— Moi drodzy — odezwał się doktor Burlicz, — tylko nic śpieszcie



się z wychodzeniem na ląd wenusowy. Bardzo mi się nie podobają tutejsi mieszkańcy. Zdaje się, że profesor Knycz uzna moją radę za słuszną: zostaliśmy w „Ewilicie” przez parę godzin na obserwacji.

— Słusznie, doktorze — zgodził się profesor. — Tym bardziej, że zmierzch już zapada.

Zanim jednak zmierzch zapadł, ewilici przeżyli niemiłą przygodę.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY, W KTÓRYM DOKTÓR ZACHWYCA SIĘ CZEMS NIEPIĘKNEM.

Jacek Czyński nie odstępował od okna, czyniąc pośpieszne notatki pierwszych wrażeń na lądzie innej planety. W pewnej chwili zauważył, że ku miejscu, na którym się znajdowali, spływa jakaś bezkształtna masa. Robiła wrażenie kolosalnego placka z rzadkiej galarety. Zjawiały się w niej kuliste pęcherze, nabrzmiwały, rosły, pękały i wtedy wylewał się z nich strumień jakiegoś płynu.

— Doktorze, doktorze! — zawołał Jacek. - Niechże doktor popatrzy! Coś się do nas obrzydliwego wlecze w gościnę!

— Podobne jest to do jakiejś niesłychanie wielkiej ameby! — zawołał zdumiony doktor. — Nie inaczej wyglądałaby ziemską ameba, gdybyśmy byli jakimś glonem, czy okruszynką roślinną! Tu dopiero nasi uczeni mogliby swobodnie bez mikroskopu obserwować w normalnych warunkach życie stworzeń najprostszych! To pękające wodniczki są wspaniałe! To ciemne ciało jest zapewne jądrem, a tamto, jestem przekonany, że to centrozomy!

--- Niechże się doktor nie zachwyca tym obrzydliwstwem! Przecież to lada chwila zaleje swą galaretą „Ewilit”!

Istotnie „Ewilit”, mimo swej wielkości, po prostu zalany został przez półpłynną masę wenusowej „ameby”. Na szybie przelewały się mętne fale jej ciała, to bardziej przejrzyste, to gęstniejące. Szkło jednak wkrótce zmętniało i nic nie było można dojrzeć. Doktor Burlicz natychmiast zwrócił na to zjawisko uwagę.

— Mam obawę — powiedział, — że to stworzenie wydziela z siebie jakiś płyn, który nagryza nasze szkło! Trzeba uciekać!

— A może wystarczy, jeśli przez ściany „Ewilitu” puścimy silny prąd elektryczny? — zapytał profesor.

— Niech profesor spróbuje!

Środek okazał się skuteczny. Fale na szybie poczęły przepływać gwałtownie i wkrótce, mimo pewnego zmętnienia szkła, można było stwierdzić, że prąd elektryczny poskutkował.

— Kto wie, jakie niespodzianki oczekują nas w nocy. Trzeba pomyśleć nad tem, jak się przed nimi zabezpieczyć. Zdaje się, byłoby najprościej wzbić się w przestworza i poczekać do ranka! zauważył doktor Burlicz.

— Może jednak wystarczy prąd elektryczny w pancerzu „Ewilitu”? Prądu nie mamy potrzeby żałować: mamy go zawsze pod dostatkiem.

Profesor Knycz zdecydował, żeby „Ewilit” pozostał. Prosili o to natarczywie Jacek, panna Ewa i mały Janek, którzy koniecznie chcieli zobaczyć noc na Wenus. Zasiedli więc przy oknie i rozglądali się bacznie w

panujących naokoło ciemnościach. Od czasu do czasu silny reflektor „Ewilitu” rzucał smugę światła na okolicę.

Wtedy podróżni obserwowali niezwykle obrazy. Oto w smudze światła zjawiały się coraz inne stworzenia, budzące przerażenie swą wielkością i potwornością swych kształtów, w których doktor Burlicz odnajdywał kształty, znane na Ziemi u stworzeń niżej uorganizowanych. Były jednak i stworzenia, którym doktor, mimo świetnej znajomości okazów ziemskiej fauny, nie był w możności dać nazwy. Były one znacznie mniejszych rozmiarów, odznaczały się wielką chyżością lotu, smukłością budowy. Niestety, przelatywały tak szybko, przerażone widocznie oślepiającym je światłem, że żadnemu z nich nie mogli przyjrzeć się dokładnie.

W pewnej chwili, kiedy reflektor zgasił swe oko i zapadła ciemność, ujrzeli nowe czarujące zjawisko. Oto, hen w znacznej odległości pojawiła się błyszcząca zielonkawym światłem chmura. Usiłowali zgadnąć, co to być może. Wkrótce przekonali się, że to rój fosforyzujących owadów. Opadły one na niski brzeg, który zaświecił cały jakby od setek lamp. Niektóre z tych stworzeń zbliżyły się do „Ewilitu”, a wtedy doktor Burlicz zawołał radośnie:

— To że to przecież nasze robaczki świętojańskie! — Ładne robaczki! — odezwał się z przekąsem Jacek... — Każdy z tych robaczków ma ze cztery, pięć metrów długości! — Są one jednak nieco odmiennie zbudowane — mówił dalej doktor, nie zważając na okrzyk Jacka. — Mają pięknie rozwinięte skrzydła i należą, tak mi się wydaje, do błonkoskrzydłych!

Ale zachwyty profesora przerwał nowy widok: oto błyszcząca chmura poczęła się poruszać niespokojnie i w pewnej chwili poderwała się i wzbiła w górę. Za nią wysunął się błysk reflektora i wtedy w jego świetle można było stwierdzić, że „robaczki” zostały spłoszone przez drugą chmurę innych skrzydlatych istot.

— Wszędzie stworzenia nawzajem się żrą — westchnął doktor. — Szkoda, że nie natrafiliśmy na nieco lepszy świat.

Znużenie poczęło ogarniać podróżnych. Niezwykłość i obfitość widoków oszołomiła ich: Janek począł wyraźnie ziewać i wreszcie doktor dał hasło



... podróżni obserwowali niezwykle obrazy.

do spoczynku. Postanowili tylko czuwać kolejno, by natychmiast zaalarmować całą załogę w razie spostrzeżenia jakichś zjawisk podejrzanych. Noc jednak upłynęła spokojnie i dżdżysty ranek przywitał budzących się nowymi strugami deszczu.

Na niskim brzegu, jeszcze poprzedniego dnia pokrytym bujną roślinnością, dojrzeli wtedy podróżni zaledwie szczątki roślin.

— Niezłe oporządziły brzeg te „robaczki”! — zawołała panna Ewa.

Po naradzie z towarzyszami profesor Knycz postanowił nie pozostawać w tern miejscu: jedyny masyw skalny, na którym wylądowali, nie dawał należytego pola do badań. Północ, na której spodziewali się znaleźć klimat łagodniejszy, mogła przynieść znacznie ciekawsze zjawiska życia planety. Po czym wkrótce „Ewilit” drgnął i poderwany przez rakiety wzbił się w powietrze.

Przewidywania okazały się słuszne.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY, W KTÓRYM POJAWIAJĄ SIĘ PTASZYSKA O POCZCIWYM WYGLĄDZIE BOCIANÓW.

W ciągu kilku godzin „Ewilit” w dość powolnym locie szybował nad rozległym lądem, stanowiącym morze zieleni. W miarę jednak, jak posuwali się coraz dalej na północ, zieleń zmieniała swój charakter. Widać było wyraźnie, że stopień wilgoci znacznie się zmniejsza, że rośliny nic są tak wybujałe, nic posiadają tak kolosalnych liści, ułatwiających im parowanie w wysokiej temperaturze południa. Szerokie rozlewiska, niby rzek, niby jezior, których zarysów nie było można ustalić wyraźnie, obejmowały coraz wyraźniejsze brzegi..

Coraz też częściej widzieli miejsca, pozbawione roślinności.

Mniej więcej w okolicach 40 stopnia północnej szerokości podróży ujrzeli łańcuch gór, zasnutych dymami. Nie ulegało wątpliwości, że było to pasmo gór wulkanicznych z całym szeregiem potężnych, bezustannie czynnych wulkanów. Wybuchy te były tak potężne, że inżynier Milecki musiał wznieść „Ewilit” na znaczną wysokość, by przebyć barierę dymów i popiołów.

Za pasem wulkanów widok zmienił się jeszcze bardziej. W okolicach 70-ego równoleżnika nie przypominał on niczym wybujałej roślinności podzwrotnikowej Wenus. Mimo mgieł, gęsto snujących się nad lądem, mimo spadających dość często ulewnych deszczów, podróży mogli zachwycać się wielkimi połaciami lądu, pokrytymi barwnymi kobiercami wspaniałych kwiatów, o przepysznych kolorach, w których przeważała barwa czerwona.

— Zdaje się, że tu możemy zrobić popas — zauważył doktor Burlicz.

Profesor Knych nakazał jednak jeszcze dwugodzinny lot, jeszcze bardziej zwolniony, by poczynić dokładniejsze obserwacje i wybrać jak najdogodniejsze miejsce lądowania.



Ewilici natrafili wreszcie na zakątek, wyglądający niezwykle powabnie. Była to kotlina, otoczona niewysokimi górami, pełna kwiecia, w której zaczynały się dwie rzeki o przejrzystej wodzie, spływające w dwóch różnych kierunkach: jedna na zachód, druga na południowo- wschód.

— To robi wrażenie zupełnie ziemskiego pięknego kącika dla amatorów pięknej natury i pragnących wypoczynku! Lądujemy tutaj!

Profesor wyraził swą zgodę i „Ewilit” wkrótce osiadł na równej polance u stóp stromej góry. Była wczesna godzina popołudniowa. Deszcz nie padał, choć chmury pokrywały całkowicie niebo. Opadły drzwi kabiny wejściowej i po chwili pierwszy człowiek z Ziemi, oddalonej o dziesiątki mil jonów kilometrów, stanął na glebie Innej planety.

Był nim profesor Knycz.

Wciągnął w płuca powietrze. Było orzeźwiające, takie, jakim oddychamy po orzeźwiającej burzy w skwarny letni dzień w lesisto-górskiej okolicy.

Profesor dał znak swym towarzyszom, że mogą śmiało wychodzić; atmosfera Wenus, zbadana zresztą przez Ziemian od dawna, nie groziła żadną niespodzianką, niebezpieczną dla płuc ludzkich. Wyszli wszyscy jedno po drugim. Rozejrzeli się dookoła. Stali na obszernej polanie, pokrytej kwiatami o wielkich purpurowych kielichach, sterczących sztywno na grubych mięsistych szypułkach. Wśród tych kwiatów wił się strumień przezczystej wody, wytryskującej z pod skały.

Nie było widać żadnego żywego stworzenia.

— Dziś świętujemy — powiedział profesor Knycz. — Od jutra czeka jednak nas praca. Musimy w czasie jak najkrótszym dokonać, ile tylko zdołamy, obserwacji i wyruszymy w drogę powrotną. Termin wyruszenia obliczyłem za 8 miesięcy. Okres czasu więc pozostaje niewielki, by zbadać wielki glob. Okolica ta wydaje się niezamieszkała przez żadne istoty, nikt więcej nam nie będzie przeszkadzał gospodarować na tym skrawku planety.

Zanim jednak profesor skończył zdanie, podróżni ujrzeni nad górami wielkiego ptaka, czy raczej stworzenie, do ptaka podobne, gdyż obdarzone skrzydłami.

Po chwili ukazało się tych stworzeń więcej. Szybowały one bardzo wysoko i nie można było rozpoznać ich kształtu. Nie ulegało tylko wątpliwości, że stworzenia te zwróciły uwagę na „Ewilit”, zataczały bowiem nad miejscem lądowania Ziemiaków wielkie koła, to zniżając się nieco, to znów wzbijając się wyżej do tak znacznej wysokości, że nikały w chmurach.

— Mamy tu jednak jakieś stworzenia — powiedział doktor Burlicz. — Jakieś ptaszyska, zdaje się o pocziwym wyglądzie naszych bocianów.

„Ptaszyska o pocziwym wyglądzie naszych bocianów”, widocznie ośmielone nieruchomą postawą Ziemiaków, poczęły zataczać coraz niżej kręgi nad ich głowami i teraz można było przypatrzeć się dokładnie ich niezwykłemu wyglądowi.

Wśród szeroko rozpiętych błoniastych skrzydeł, coś na kształt nietoperzy, błyszczało nagie, niczym nieokryte ciało. Szeroki tułów o silnie rozwiniętej klatce piersiowej posiadał jeszcze jedną parę górnych kończyn, którymi „ptaszyska” gestykulowały zawzięcie. Na tułowiu

*Dalszy ciąg nastąpi.*



Mamy tu jednak jakieś stworzenia...



Wybuchy te były tak potężne..

obracała się na giętkiej, choć niedługiej szyi niewiele co większa od ludzkiej głowa, zaopatrzona w dwoje wielkich oczu. Kończyny dolne „ptaszyska” miały podwinięte, czy podkurczone, a w każdym razie bardzo przypominające odnóża ludzkie.

— Oho! — zawołał doktor Burlicz — to całkiem do czegoś podobne stworzenia! Ale jak się tu one uchowały wśród tych potwornych owadów?! Fruwają bardzo zwinnie. Chyba to ich ratuje. — Trzeba się z tymi stworzeniami porozumieć, o ile posiadają jaką inteligencję.

— Witają nas, jak Rzymianie — powiedział Jacek, patrząc, jak „ptaszyska” kierują ku nim swe ręce o szeroko rozczapierzonych długich palcach.

— Może i witają... — pokręcił głową doktor. — Albo szykują szpony do ataku. — Ich ręce nic wyglądają na szpony.

— Niema możliwości innego porozumienia się, jak zbudowanie jakiejś prostej figury geometrycznej. O ile są to stworzenia inteligentne, domyśla się, że nam też inteligencji nie brak — powiedział profesor Knycz.

Natychmiast pod przewodnictwem profesora podróżni zgromadzili kilkanaście większych odłamków skalnych i ułożyli w znacznej odległości od „Ewilitu” trójkąt, koło, czworokąt i pięciokąt. Po dokonaniu tego skryli się w „Ewilkrie”, by swą obecnością nie odstraszać „ptaszysk”. Zajęli jednak miejsca przy oknach i z ciekawością obserwowali zachowanie się niezwykłych istot.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY. W KTÓRYM ZIEMIANIE ZAWIERAJĄ CIEKAWĄ ZNAJOMOŚĆ.

Zaledwie nasi podróżni zniknęli we wnętrzu „Ewilitu”, „ptaszyska” opuściły się na łąkę. Zasiadły zaraz nad uslawionemi przez Ziemię kamieniami i

dłuższy czas nie ruszały się z miejsca. Widać było tylko, że wszyscy podnieśli do góry ręce i tak trwali bez ruchu.

— Czegóż oni tak pokazują na chmury? Czyżby od razu się domyślili, że spadliśmy im z nieba? — To wydaje się wątpliwe. Nic przypuszczam, by nawet przy wielkiej inteligencji mieli wielkie pojęcie o niebie wobec ustawicznego zachmurzenia wenusowego nieba — zauważył profesor.

Nagle jeden Wenusjan poderwał się i szybko wzbił się pod chmury.

--- Oho, poleciał sprowadzić pomoc! — zawołał Janek. — Czekajmy i patrzmy, co z tego będzie.

Po upływie pół godziny istotnie na łąkę nadleciała wielka gromada Wenusjan. Zaroili się, jak chmura i cała kotlinka zaróżowiła się od ich ciał. Część znaczna opadła na łączkę, gdzie siedzieli poprzedni, inni krążyli ustawicznie nad kotliną. Nie trwało to jednak długo, bo już po kilku minutach wszyscy wzbili się pod chmury. Ziemianie wtedy wyszli z „Ewilitu”.

— Zachowajmy ostrożność — radził doktor. — Kto wie, jaką nam zasadzkę szykują!

Profesor jednak śmiało podszedł do miejsca, gdzie były ustawione figury geometryczne, i wydał okrzyk zdumienia. Wszyscy pośpieszyli ku niemu.

Tuż obok figur leżał zwój jakiegoś materiału. Profesor wyciągnął poń rękę, ale doktor powstrzymał go czym prędzej.

— Niechże profesor nie dotyka! Kto wie, czy nic wybuchnie! — E, doktor przyzwyczał się do ludzkiego podstępu i ziemskich zamachów bombowych — zaśmiał się Czyński, poczym pochylił się i ujął zwój.

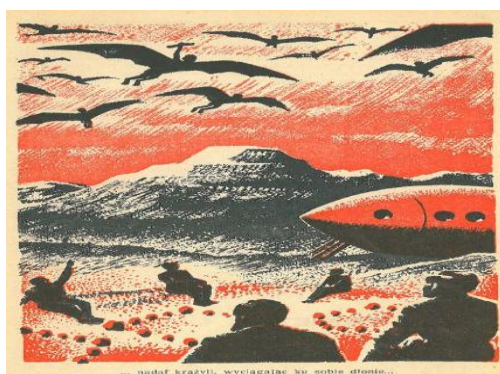
Kiedy go rozpostarł, oczom podróżnych ukazało się przedziwne malowidło: wyobrażało ono z wielką dokładnością skalę i znajdujący się pod nią „Ewilit”, a przy nim małe figurki ludzi!

— Przecież to wygląda jak zdjęcie fotograficzne! — zawołał zdumiony Czyński. — Ale co to za materiał oni mają przedziwny! Wygląda jakby z miazgi roślinnej.

— Musimy im w zamian coś narysować — odezwała się panna Ewa. — Może ja to zrobię!

Pobiegła szybko do „Ewilitu” po wielki arkusz papieru i kolorowe ołówki. Po chwili nakreśliła sylwetki ewilitów, siedzących wkoło, a pomiędzy ludzi powstawiała sylwetki Wenusjan. Wszyscy zrozumieli jej myśl i zasiedli kołem nieruchomo, zostawiając między sobą miejsce dla Wenusjan. Przez cały czas Wenusjanie pilnie obserwowali ich ruchy. Wkrótce, kiedy Ziemianie siedzieli kilka minut nieruchomo, z krążącej nad ich głowami chmury odłączył się jeden i opadł na ziemię. Żywo poruszając wielkimi, silnie błyszczącymi oczami, dość niezgrabnie zbliżył się do koła Ziemian, wziął papier i wzbił się w powietrze. Rysunek został obejrzany w powietrzu i Wenusjanie nadal krążyli, wyciągając ku sobie dłonie z rozczapierzonymi palcami. Nie trwało to jednak długo. Po kilku minutach pięciu z nich znów opadło na ziemię i usadowiło się między Ziemianami.

— A nie mówiłam, że rozumieją! — powiedziała głośno panna Ewa.



Błyszczące oczy Wenusjan wpatrzyły się w nią szeroko rozwarte, wszyscy otworzyli lejkowate wyciągnięte wargi, pokryte taką samą skórą, jak reszta ciała. Wyciągnęli znów dłonie ku sobie i wtedy Ziemianie spostrzegli, że jedną rękę trzymają przy sobie, skupiając wszystkie palce, podczas gdy drugą nastawiają o szeroko rozpostartych palcach.

— To oni tak na migi mówią — zauważył Janek. — Zdaje się, że to nie na migi, a jakiś zupełnie nieznaną sposób na Ziemi.

Istotnie trzymali ręce zupełnie nieruchomo przez cały czas.

— Trudno będzie siedzieć tak długo. Musimy coś przedsięwziąć, by dać im do zrozumienia, kim jesteśmy. Ewo, postaraj się im narysować „Ewilit”, unoszący się wśród gwiazd. Prawdopodobnie gwiazdy nie są im nieznane: ich silne skrzydła pozwalają przypuszczać, że dokonują wysokich lotów nad chmury, gdzie świeci słońce i gwiazdy.

Ewa spełniła polecenie ojca i wyciągnęła papier ku Wenusjanom. Wzięli go natychmiast i bacznie mu się przyglądali. Niebawem Wenusjanie „śmiesznie”, jak to określił Janek, złożonymi ustami, poczęli wydawać łagodne przeciągłe dźwięki, w których często powtarzała się samogłoska „i”, wymawiana przez nich w bardzo urozmaiconej tonacji.

Jeden z Wenusjan w pewnej chwili położył obie ręce na swych piersiach i wymówił parę razy:

— Ikii.

Rozpostarł skrzydło, mające około dwóch metrów długości i, przyłożywszy doń ręce, wypowiedział:

— Ijk.

Poczem uczynił to samo z drugim skrzydłem, lewym i powiedział:

— lik.

Czyński natychmiast wyciągnął notatnik i począł notować wymawiane przez Wenusjanina dźwięki. Począł mu też sam pomagać i, wyciągając rękę, powiedział: — Ręka.

— lenkia — powtórzył Wenusjanin i dodał: — Iimi.

W czasie tej „lekcji” wymowy oczy Wenusjan rozbłyskiwały równym spokojnym blaskiem, podnoszącym piękno ich zielonych tęczęwek. Tak zostało zawarte pierwsze porozumienie Ziemiaków z mieszkańcami Wenus.



## ROZDZIAŁ SIEDMNASTY, W KTÓRYM DECYDUJE SIĘ GROZNA WYPRAWA NA POŁUDNIE.

W przeciągu dwóch miesięcy nastąpiło zupełne zbliżenie Ziemiaków z Wemisjanami. Porozumienie to Wemisjanie ułatwili sobie w niezwykle prosty sposób. Oto przykładali prawą dłoń do głowy człowieka. I to wystarczało im, by się dowiedzieć, o czym człowiek myśli, jeśli chodziło o przedmioty konkretne.



Doktor Burlicz wkrótce ustalił, że posługują się oni słabymi prądami elektrycznymi, które bezustannie wytwarza każda funkcja organizmu. Sami Wenusjanie posiadali najbardziej na prądy wrażliwe ręce.

— Widocznie posiadają w rękach jakieś zakończenia nerwowe, nieznanne u nas, które im pozwalają chwycić prądy myśli swych bliźnich, a nawet nasze. Muszę przyznać, że ten sposób porozumiewania podoba mi się --- orzekł doktor Burlicz.

Wenusjanie zrozumieli prędko, że Ziemianie są pozbawieni „zmysłu elektrycznego”, czy „telepatycznego”, jak go nazywał doktor, to też starali porozumiewać się za pomocą swej przeciągłej, nieco gwizdzącej mowy.

W przeciągu dwóch miesięcy Ziemianie zdołali poznać wiele tajemnic życia Wenusjan. Było ich niewielu. Żyli gromadami w najbardziej wysuniętych na północ kotlinach, żywiąc się owymi czerwonymi kwiatami, których taką obfitość zauważyli nasi podróżni. Istotnie, kwiaty te posiadały tak wiele składników odżywczych, że i ludziom, przyzwyczajonym do wielkiej różnorodności potraw, wystarczały całkowicie. Gromady, mieszkające bardziej na południu, miały wspaniałe schroniska, wydrążone w górach, gdzie w zawiłych rozgałęzieniach wiodły szczególny żywot. Niedaleko miejsca wylądowania „Ewilitu” znajdowało się jedno z wejść do takiego wenusowego labiryntu. Podróżni, z wyjątkiem inżyniera Mileckiego, który pozostał przy „Ewilicie”, w towarzystwie Wenusjan wkroczyli do labiryntu.

Wejście znajdowało się na znacznej wysokości ponad poziomem gruntu, to też każdego z Ziemian chwycił Wenusjanin i wzbił się w górę, bezszelestnie prując wielkimi skrzydłami powietrze. Ledwie zagłębili się w długi korytarz, kiedy zostali zdumieni nowym zjawiskiem: oto oczy Wenusjan w ciemności zaślnęły tak silnym blaskiem, że rozpraszały na kilka kroków nieprzeniknione ciemności, zalegające korytarz podziemny.

Doktor Burlicz przyjrzał się szczegółowo budowie oczu swych towarzyszy i stwierdził, że to „latarniowe” urządzenie nie jest niezwykłą nowością w naturze, przypomina bowiem różnego rodzaju „latarnie” głębinowych ryb ziemskich.

— Natomiast zdumiony jestem budową korytarza. Przecież nie mogli go wydrążyć swymi delikatnymi kończynami, a nie widziałem też jakichś przyrządów, którymi by posługiwali się w tym celu.

Sprawa wkrótce się wyjaśniła: robiły to potężne walcowate stworzenia, podobne do dżdżownic, kierowane przez Wenusjan dotknięciami ręki. W głębi labiryntu Ziemianie natrafili na wspaniałą salę. Na drążonych w skale, amfiteatralnie biegnących wzniesieniach siedział tłum Wenusjan. Zebrali się tu, by dowiedzieć się, kogo gości ich planeta.

Na Ziemian widok ten uczynił niezapomniane wrażenie. Rzędy Wenusjan, owiniętych niby w togi, w połyskujące różowo aksamitne skrzydła, siedziały nieruchomo z wyciągniętymi wysoko rękami, a z oczu wysyłały ruchliwe smugi światła, obrzucające to Ziemian, to swych towarzyszy. Nie był to jedyny cel, dla którego tak licznie zgromadzili się Wenusjanie w swej podziemnej stolicy. Oto następowała pora wylęgu pewnych skrzydlatych tworów, które Wenusjanie nazywali przeciągiem Iii. Kiedy wymawiali ten wyraz, słychać było w ich głosie jakby alarm, czy krzyk rozpacz. Istotnie, Iii przynosiły Wenusjanom zniszczenie i śmierć. Całe ich chmury leciały z południa na północ. Ciągnęły szeroką drogą nadmorską, w której przerywał się łańcuch gór wulkanicznych, stanowiących w innych miejscach dzięki nieustannym wybuchom nieprzebytą zaporę. W jednym miejscu zapora ta przerywała się i przez nią wdzierały się potwory kilkumetrowe do cichego i spokojnego państwa Wenusjan.

Wenusjanie przestali dawno walczyć z niepokonanym wrogiem. Cały swój wysiłek skierowali na niszczenie pozostawianych przez owady - wielkoludy jaj. Ale Iii pozostawały przez kilka tygodni na północy i pilnowały starannie załączków przyszłego potomstwa. To też z jaj zdążyły wykluwać się niszczycielskie gąsienice, które pożerały rozległe pola purpurowych kwiatów, zwanych przez Wenusjan dimii, tak, że wielu z nich ginęło śmiercią głodową, próżno szukając choćby jednego płatka, by nim nasycić głód. Najazdy Iii wydarzały się co trzy lata.

Ziemianie wysłuchali z wielką uwagą wiadomości o niszczycielach.

— Musimy pomóc Wenusjanom — powiedziała wreszcie panna Ewa. — Czybyśmy nie mogli wytworzyć zapory z gazów trujących na drodze tych potworów?

— To będzie trudna sprawa — zauważył inżynier. — Ulewne deszcze przytłoczą gazy do ziemi i rozpuszczą je. Nie mamy zbyt wiele czasu, by przeprowadzić doświadczenia, jakie gazy nadawałyby się do tego użytku. Mam inną myśl!

— A może skorzystamy z naszych małych a tak potężnych przyrządów, które powodują rozpad atomów? — zawołała panna Ewa. — Właśnie. Jeśli na drodze lili zacznie promieniować ta okropna siła, która poruszała nasz „Ewilit”, wtedy lili nie przedostaną się na północ.

Ziemiańskie naradzający się stali w świetle oczu Wenusjan. Widocznie rozumieli oni treść narady, bo oczy ich błyszczały szczególnie silnym światłem.

Sprawa porozumienia była istotnie łatwa. Wśród Wenusjan nastąpiło niezwykle podniecenie. Można je było poznać tylko po silnym blasku oczu i wyciągniętych rękach, którymi wysyłali swe „słowa telepatyczne”, gdyż poza tym trwali nadal w bezruchu.

Wyprawa na południe była zdecydowana.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY, W KTÓRYM GINIE JANEK ZE SWYM PRZYJACIELEM NAZWISKIEM WIID.

Koło „Ewilitu” zebrała się gromadka Wenusjan. Otoczyła ona Jacka, przybranego w ubiór, jakiego używają członkowie ekspedycji ratunkowej, zapuszczającej się w głąb kopalni, w której nastąpił wybuch. Podobnie przybrał się inżynier. Obydwaj mieli wyruszyć na południe, we dwóch w towarzystwie kilku Wenusjan na wielką „wojnę” przeciw niszczycielskim owadom - potworom.

Na rzece stał już statek, zbudowany pod kierownictwem inżyniera, a będący obszerną tratwą z namiotem. Pod namiotem na specjalnym pływaku (na wypadek rozbicia się tratwy) został umieszczony jeden z dwóch niewielkich przyrządów, stanowiących siłę „Ewilitu”.

Profesor Knych zęgał serdecznie swych przyjaciół.



— Nie wiem, czy dobrze czynię, pozwalając wam na tę wyprawę, miast użyć do niej „Ewilitu”. Niech się jednak dzieje wola Boga!

Jacek Czyński uściskał Janka:

— A nie ukryj się gdzie w namiocie, bo w tym płaszczyku, chroniącym cię tylko od deszczu, nie przetrzymałbyś naszej wycieczki, którą niezbyt czarująco zapowiadają nasi Wenusjanie.

— Nie, teraz we wszystkim słucham pana profesora.

Jacek z inżynierem usadowili się wygodnie na tratwie wraz z trzema Wenusjanami, kilku innych krążyło nad tratwą, mając zamiar towarzyszyć jej drogą powietrzną. Ruch drąga i tratwa zakołysała się

swobodnie na nurcie rzeki. Mała gromadka Ziemiaków żegnała, poruszając rękami, swych towarzyszy.

Wkrótce za zakrętem rzeki zniknęli im z oczu wśród przepysznej zieleni, pokrywającej brzeg pnącymi się niby powój roślinami. Powrócili do „Ewilitu”. Doktor Burlicz zajął się swymi badaniami, panna Ewa z profesorem badaniami atmosfery i magnetyzmu Wenus. Tylko Janek spędzał beztrosko dni, oblatując w ramionach Wenusjanina Wiid okoliczne polany i góry. Dzień mijał po dniu. Minęło dwa miesiące, a o Czyńskim i inżynierze nie było wieści. A przecież towarzyszący im Wenusjanie mieli przylatywać z wiadomościami. Niepokój serdeczny wkraść się do serc Ziemiaków. Obawa o ich los rosła z dnia na dzień. Nie chodziło o cenny przyrząd: ten, który pozostał, mógł wystarczyć „Ewilitowi”.

— Czyżby nieumiejętnie posłużyli się nim i zginęli? — zadawał sobie pytanie profesor. — Ale przecież miał z niego zrobić użytek inżynier, który zna się na nim świetnie.

--- Polećmy w ich kierunku

„Ewilitem” — prosiła panna Ewa.

— Nie możemy, moje

dziecko. Możemy właśnie przybyć w chwili

działania przyrządu i wtedy „Ewilit” ulegnie zniszczeniu. Musimy czekać.

— A może prosić Wenusjan, by udali się

w tym kierunku?

— Nie możemy narażać ich życia. Wiesz

przecież, jak wstrząsali się, kiedy była mowa o wyprawie na południe. Ta wyprawa jest dla nich wyprawą do jakiegoś straszliwego piekła, skąd niema powrotu!

— Ale mimo to znalazło się kilku śmiazków.

Może znajdą się jeszcze.

— Postaram się z nimi porozumieć —

oświadczył profesor.

Ale Wenusjanie zniknęli. Przyzwyczajeni do ukrywania się w okresie najazdu lili, pochowali się w swych labiryntach i nic przylatywali nawet Oglądać „Ewilitu”, co czynili dawniej nieustannie. Jeden tylko Wiki dotrzymywał im wiernie towarzystwa, nie wypuszczając prawie z rąk Janka.

Profesor powiedział mu o swej trosce. Wiid nie odpowiedział nic.

— Dziwna rzecz — powiedział profesor do córki, — wydaje się, że są ożywieni podobnymi do ludzi uczuciami, a zupełnie nie troszczą się o tych swych towarzyszy, którzy może zginęli na południu. Po prostu pochowali

się, jak to czynią co trzy lata, i koniec! — I ja to  
zauważyłam. A przecież musimy coś przedsięwziąć!  
Niestety, nie znajdowali rady.

Następnego dnia spadło na trójkę Ziemiaków nowe zmartwienie: Janek z Wiid nie zjawili się przed wieczorem w „Ewilicie”.

— Nic martwcie się, — uspakajał stroskanych doktor Burlicz. —  
Pewnie Wiid, dręczony tym, że dotychczas nie ukrył się wraz ze swymi  
towarzyszami, zabrał Janka do jakiejś groty i siedzą w niej bezpiecznie.  
— Ależ to niemożliwe! — mówiła panna Ewa. — Janek jest niezwykle  
posłuszny i na pewno wróciłby jak każdego dnia przed wieczorem do  
„Ewilitu”! — Może zalecieli gdzie dość

daleko i Wiid nic chciał ryzykować  
nocnego lotu z Jankiem.

— Przecież

Wenusjanie doskonale się orientują w nocy! — A ja wam  
mówię, nie martwcie się przedwcześnie — twierdził  
doktor, sam zmartwiony nieobecnością chłopca, którego polubił.

Rozpoczęli poszukiwania — na próżno!

— Nic innego, tylko Wenusjanin go upuścił i biedny Janek może  
gdzie zginął w górach! Żeby zjawił się chociaż jeden Wenusjanin! —  
wołała panna Ewa, a w jej oczach błyszczały łzy.

Niestety, nic widzieli już od dłuższego czasu na tle zachmurzonego nieba  
szeroko rozpostartych różowych skrzydeł. Minęło znów parę tygodni. Czas  
odlotu zbliżał się prędko. Profesor zdawał sobie sprawę, że, jeśli nie  
wyruszą z powrotem na Ziemię, za dwa miesiące, trzeba będzie długo  
czekać na odpowiednie zbliżenie Ziemi, by na nią wyruszyć. Ale profesor  
Knycz postanowił, że nie wyruszą, dopóki nie znajdą przynajmniej  
szczątków tych, którzy im to warzyszyli.

— Tak, tak, ojciec — popierała gorąco tę myśl panna Ewa. —  
Całe życie dręczyłabym się, że oni zostali na Wenus, że błądzą po niej  
samotni i tęsknią do Ziemi. Nie, nic możemy wyruszyć, dopóki ich nie  
odnajdziemy!

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY, W KTÓRYM REPORTER I INŻYNIER MÓWIĄ OD RZECZY, A JANEK JEST DZIELNYM CHŁOPCEM.

Pewnego wyjątkowo pogodnego dnia kolo „Ewilitu” opadł jakiś Wenusjanin. Wolał lii! i czynił rękami niezrozumiałe dla Ziemian znaki. Doki i Hurlicz, który właśnie stał przed „Kwiliłem”, przeraził się.

— Profesorze! Jest Wenusjanin, który woła, że lecą lii! A więc zginęli nasi przyjaciele! Na głos doktora w otwartych drzwiach „Ewilitu” ukazali się profesor i jego córka.

Panna Ewa wpatrzyła się zapłakanymi oczami w gońca śmierci i klęski. Ale w miarę, jak przyglądała mu się, twarz jej pogodniała. Zawołała wreszcie:

— Ależ on mówi co innego! Oświadcz, że lii już nic przylecą!



Teraz dopiero po bacznych wsłuchaniu się w dźwięki Wenusjanina i przyjrzeniu się jego żywym ruchom zrozumieli, że przyniósł on wieść radosną:

— lii nie przeleciały, a więc inżynier z Czyńskim dokonali zamierzonego dzieła! Zatem żyją?

Kiedy tak stali przed Wenusjaninem, który nie przestawał żywo gestykulować, na niebie na tle szarych chmur ukazała się różowa chmura: to wielka chmara Wenusjan leciała do Ziemian. Kiedy opadli na Ziemię, panna Ewa zobaczyła maleńką figurkę, toczącą się pośpiesznie ku „Ewilitowi”:

— Janek! — krzyknęła radośnie i pobiegła ku niemu.

A wtedy z pośród różowej masy ciał Wenusjan ukazali się inżynier i Czyński. Panna Ewa stanęła zdumiona: jakże okropnie wyglądali! Słaniali się na nogach, prawie nadzy, wychudli, zarośnięci, o oczach połyskujących gorączką. Uszli parę kroków i inżynier pierwszy upadł na ziemię. Czyński stał jeszcze, chwiejąc się, doczekał się chwili, kiedy panna Ewa zbliżyła się ku niemu i upadł również.

— Doktorze! — zawołała przerażona panna Ewa. — Prędszej, niech pan ratuje ich!

Janek tymczasem przypadł do niej i objął ją wpół, tuląc twarz do jej sukienki. Nachyliła się, by go ucałować, a wtedy szepnął jej do ucha:

— Niech pani poprosi pana profesora, żeby się na mnie nie gniewał, ale ja polecałem z Wiid szukać pana Jacka i pana inżyniera! — I znalazłeś ich? — Nie, to Wiid ich znalazł.

— Jakże to było, opowiadaj prędko! — Kiedy pan profesor powiedział Wiidowi, że trzeba by szukać pana Jacka i pana inżyniera, to Wiid mi powiedział, że musi lecieć, a ja mam zostać. Ja nie chciałem, bo on przecież nie wie dobrze, czego potrzeba ludziom. Więc zabrałem tę małą apteczkę, taką leciutką, bo wiedziałem, że to może być potrzebne, i poleciliśmy.

Wiidowi było bardzo ciężko. Musieliśmy często odpoczywać. A baliśmy się jeszcze lii, bo Wiid mówił, że mogą lada chwila nadlecieć. Więc lecieliśmy bardzo niziutko, żeby móc się zaraz schować. Ale lii nie było nigdzie. Potem były takie straszne lasy, jakich nigdy nawet na obrazkach nie widziałem! Obydwaj bardzo się baliśmy. Lecieliśmy ciągle nad rzeką i patrzyliśmy, czy gdzie nie zobaczymy pana Jacka. Ale nigdzie nie było widać.

Dopiero po wielu nocach przylecieliśmy do jakiegoś dziwnego miejsca. Naokoło nie było nic, tylko pusta ziemia, a na niej wiele, wiele nieżywych samolotów. To były lii, tak mi powiedział Wiid. Ale nigdzie nie było pana Jacka. Poleciliśmy z powrotem. Płakałem bardzo o pana Jacka, bo go bardzo lubię. Aż raz zobaczyłem coś na rzece. Powiedziałem Wiidowi. Zaraz opadliśmy. To był ten namiot, który pan inżynier zbudował na tratwie.



Potem znaleźliśmy tratwę, potem jeszcze rozmaite rzeczy pana Jacka i pana inżyniera. I wreszcie na brzegu pana Jacka i pana inżyniera. Leżeli na brzegu, a po nich chodziły takie obrzydliwe robaki! Nie mogłem zupełnie rozmówić się ani z panem Jackiem, ani z panem inżynierem, bo mówili zupełnie od rzeczy!

Wiid poleciał po namiot, który znaleźliśmy, i tak jakoś urządziliśmy się w lesie, na brzegu. Potem Wiid poleciał po Wenusjan, a ja zo-



stałem. Bałem się w tym obrzydliwym lesie. A najbardziej brzydziłem się tych robaków, które ciągle musiałem odpędzać. I z nikim nic mogłem rozmawiać, bo oni ciągle mówili od rzeczy. Najwięcej pan Jacek, a pan inżynier, myślałem, że umarł, bo już nic nie mówił, tylko leżał i nawet nie poruszał się. Ale wreszcie Wiid przyleciał a z nim przyleciało bardzo dużo Wenusjan. Zabrali nas wszystkich, a panu Jackowi dali jeść jakieś kwiaty i panu inżynierowi. I zrobiło im się lepiej, już nie mówili od rzeczy, a pan inżynier zaczął się poruszać.

Panna Ewa w milczeniu uścisnęła dzielnego chłopca.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY, W KTÓRYM JACKOWI NIEZWYKLE PILNO.

W cichym, przytuliłem mieszkaniu przy ul. Nowowiejskiej w Warszawie panna Dzikka stała przy oknie i patrzyła na ulicę, na której poczęły zapalać się Światła.

Na ciemniejszym niebie zabłysnęła pierwsza gwiazda, Śląc Ziemi łagodny a silny blask.

— To Wenus — szepnęła do siebie Dzikka. — Co mówisz, dziecko? — spytała pani Czyńska siedząca w głębokim fotelu.



— Nic, mamusiu. Tak patrzę sobie na ulicę. Pani Czyńska spojrzała w okno i ujrzała wspaniałą gwiazdę. Głębokie westchnienie matki i córki powitało Wenus.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Dzikka podbiegła do aparatu.

— Tu mówi redaktor „Nowin dla wszystkich” — usłyszała głos w telefonie. — Czy to panna Dzikka? — Tak. Słucham pana!

— Co? Co pan mówi? — Cieszcie się! „Ewilit” wraca! — Przed chwilą otrzymaliśmy z największego obserwatorium amerykańskiego depeşe, że zauważono „Ewilit”! Za kilkanaście godzin będzie na Ziemi. Prawdopodobnie wyładuje w Ameryce, ale to nic pewnego! Astronomowie nie spuszcza ją z oczu.

— Mamo, mamo! — zapiszczała radośnie Dzidka. — Jacek wraca!  
Pani Czyńska zerwała się z fotela, a polem znów opadła bezsilnie. Drżącymi ustami powtarzała: — Czy to prawda? Czy to możliwe? —  
Mamo, oni na pewno wrócą do Rakietowa. Jedźmy tam zaraz!  
Obie poczęły się krzątać na pół przytomne. Dzidka brała po kilka razy swój berecik i odkładała go z powrotem, a chwytiała matki kapelusz, by pomóc jej trzęsącym się ze wzruszenia rękoma. Wreszcie były jakoś ubrane. Zanim jednak wyszły z mieszkania, wpadł do pokoju redaktor „Nowin dla wszystkich”.

— Przyjechałem, by wziąć udział w waszej radości. Sam zresztą jestem tak wzruszony!

Niech pan jedzie z nami — zaproponowała Dzidka — Oni na pewno wylądują w Rakietowie.

— Ależ, to nic nie wiadomo. — A ja panu mówię, że oni tam wylądują!  
— Wszystko jedno! Jedźmy! Mój samochód czeka.

W part chwil później samochód pędził wyasfaltowaną szosą do Rakietowa. Wkrótce na mieście ukazały się wydania nadzwyczajne pism donoszących wszystkim sensacyjną wiadomość o powrocie „Ewilitu”, który uważano za przepadły.

Cierpliwość oczekujących wystawiona była jednak na długą próbę. We trójkę spędzili bezsenną noc, na szczęście ciepłą i pogodną, na miękkich poduszkach samochodu, wśród ciszy leśnej, męczonej pochrapywaniem znużonego szofera.

Około godziny siódmej rano Dzidka wyszła z samochodu, by „rozprostować” nogi. Ruszyła ścieżyną kierunku lasu, pachnącego już wiosną, w kierunku, gdzie widniał czerwony mur Rakietowa. Nagłe usłyszała niezwykły szum w powietrzu. Zadarła główkę i zobaczyła... Nad lasem przemknął wielki ciemny potwór, zatoczył ogromne koło i zapadł za mur Rakietowa.

Niezwykły szum wywabił z samochodu redaktora i panią Czyńska. Biegli już drogą, a redaktor wymachiwał rękami i krzyczał na całe gardło, nie mogąc się opanować: — „Ewilit!” „Ewilit!”

Jadzia wyprzedziła ich znacznie i pierwsza poczęła kołatać do furty żelaznej. Biła małymi piąstkami w żelazo i krzyczała:

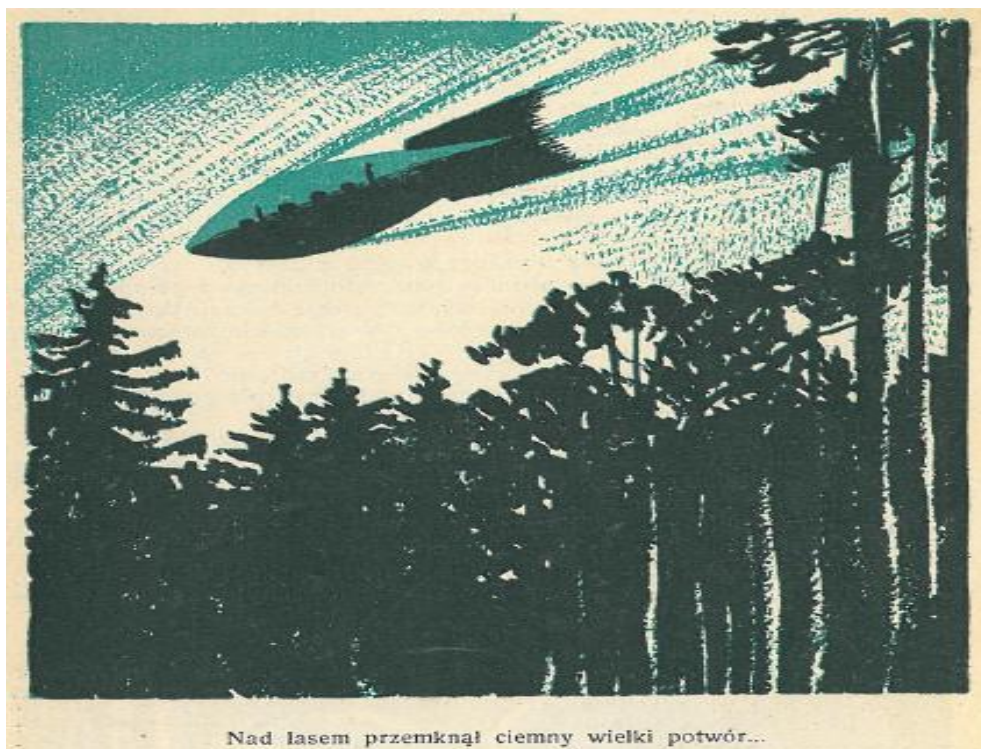
— Proszę otworzyć! To Jacek przyleciał! Proszę otworzyć!  
Potem już zgodnie stukali co sił w bramę, redaktor nie żałował nawet nogi, a szofer pomagał mu kawałem znalezionej w pobliżu gałęzi.

Nikt ich nie słyszał.

Dzidka opadła już z sił, pani Czyńska płakała, tylko redaktor i szofer bili bezustannie w żelazo.

Nagle usłyszeli znajomy głos:

— Już otwieram! — To był głos Jacka. — Jacku! — krzyknęły trzy osoby. Zgrzytnęła furta i pani Czyńska znalazła się w powietrzu porwana mocnym uściskiem syna. Rozradowana Jadzia głaskała brata po ramieniu, a wzruszony sceną powitania redaktor usilnie wycierał nos.



Nad lasem przemknął ciemny wielki potwór...

Wkrótce całe towarzystwo znalazło się w saloniku domu mieszkalnego Raketowa. Ledwie jednak zasiedli, Jacek zawołał:

— No, redaktorze na nas czas! Jedziemy.  
rozległy się zdumione głosy.  
najprędzej wypuścić dodatek nadzwyczajny!

— Dokąd? —  
— Przecież musimy jak

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY. KTÓRY SIE KOŃCZY KU OGÓLNEMU ZADOWOLENIU.

Przed kościół Wizytek zajechał sznur karet. Z pierwszej wysiadła panna młoda, której podał rękę ubrany we frak Jacek Czyński. Wśród wysiadających druzbów rozległa się głośna uwaga:



— Jacek jest porządnie wzruszony: co chwila poprawia na nosie okulary!

Istotnie Jacek był wzruszony. Minęło zaledwie parę tygodni od chwili powrotu „Ewitu” na Ziemię, kiedy Jacek poprosił o rękę panny Ewy z którą połączyło go tyle wspólnych i niezwykłych przeżyć.

Inżynier, dowiedziawszy się o zgodzie panny Ewy, podniósł głowę z nad nowego modelu „Ewilitu II” i westchnął:

— Spóźniłem się! A nawet gdybym zdążył się oświadczyć i przedstawić Knyszowi nowy model „Ewilitu”, to pewnie panna Ewa dałaby mi i tak kosza! — Mimo pewnego Ulu, inżynier wziął udział w uroczystościach ślubnych.

W kościele powszechną zwracał uwagę niezwykle wysoki mężczyzna, stojący obok jaskrawo ubranej pani. Dojrzał go profesor i podszedł żywo do niego: — Cóż u pana słyhać, panie Kolasiński? Olbrzym pochylił w milczeniu głowę. Wzruszenie zatamowało mu głos w gardle. Dopiero po pewnej chwili szepnął: — W tej radosnej chwili przyszedłem prosić pana profesora o przebaczenie!

— Nie mam panu nic do przebaczenia. To pewnie pana żona? Kolasiński przedstawił profesora żonie. — Niech pan profesor na nas się nie gniewa — poczęła pośpiesznie mówić pani Kołasińska, ale to była wszystko moja wina! Teraz już za nic nie zrobiłabym tego! Sama bym z mężem poleciała, jeśli by pan profesor chciał go jeszcze zabrać kiedykolwiek ze sobą! — Na razie się nie wybieramy, ale jeśli zdecydujemy się na ponowny lot, natychmiast pana poproszę do pracy!

Wkrótce kościół zahuczał potężnym hymnem „Veni Creator”, a klęczący przed ołtarzem panna Ewa i Jacek pochylił głowy w modlitwie dziękczynnej,

**Koniec.**